NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. **Kraków, 5 września 1908.** **Nr. 36.**

Fatalne zderzenie.

(Treść na str. 2)



Treść numeru: Piraci chińscy. — Dwie ostateczności. — Narodowe święto węgierskie. — 80-lecie wielkiego pisarza. — Kradzieże dzieł sztuki. — Pożar Konstantynopola. — Przewrót w Marokku. — Zjazd nauczycielstwa słowiańskiego w Pradze. — W odrodzonej Turcyi — Międzynarodowy zjazd techników wiertniczych. — Jubileusz tow. pedagogicznego. — Garage automobilowy w Przemyślu. — i t. d.

Fatalne zderzenie.

(Do illustracyi tytułowej).

W porze letniej odbywają się, jak wiadomo, ćwiczenia wojskowe w większych i mniejszych oddziałach, które są wstępem niejako do corocznych manewrów, w których bierze udział po kilka korpusów armii. Tego roku manewry cesarskie odbędą się na Węgrzech, a na tamtejszych terenach głównie kawalerya ma pole do popisu. To też ćwiczenia pułkowe odbywają się z całą forsą, aby żołnierze nabrali wprawy i mogli się dzielnie popisywać przed monarchą i przedstawicielami zagranicznych mocarstw.

Jedno z takich ćwiczeń miało jednak fatalne skutki. Na „puszcie" węgierskiej, niezbyt daleko od Budapesztu, manewrował oddział ułanów obok toru kolejowego. Żołnierze otrzymali właśnie rozkaz obsadzenia toru, który ma w tem miejscu gwałtowne zgięcie, a po obu stronach otoczony jest wałami ochronnymi, które mają powstrzymać w zimie zaspy śnieżne. Gdy część ułanów była już na torze kolejowym, nagle na zakręcie ukazał się pociąg, pędzący całą siłą pary. Maszynista nie miał już czasu powstrzymać lokomotywy, a chociaż dał „kontraparę", mimo to z szalonym impetem wjechał w sam środek oddziału. Hukiem i świstem przerażone konie zaczęły żołnierzy unosić w różne strony i to może było jedynym ratunkiem dla biednych żołnierzy, którzy byliby bez wątpienia znaleźli śmierć pod kołami pociągu. Skończyło się tylko na kilkunastu ciężkich i lżejszych okaleczeniach, spora zaś ilość koni, połamawszy nogi, stała się do służby niezdolną i musiała być zastrzeloną na miejscu. Winę, jak się zdaje, ponosi komendant oddziału, który powinien był wiedzieć o terminie przejazdu pociągu i na ten czas tor opróżnić, gdyż zatarasowanie toru cielskami zabitych koni mogło się stać przyczyną nawet wykolejenia pociągu.

Na razie katastrofa nie miała zbyt poważnych następstw, będzie jednak nauką na przyszłość, aby w tak niebezpiecznych miejscach zwracano więcej uwagi i przedsiębrano możliwe środki ostrożności.

Jubileusz tow. pedagogicznego.

W roku bieżącym upłynęło 40 lat istnienia i działalności polskiego tow. pedagogicznego, zasłużonego wielce około podniesienia oświaty w kraju naszym, około unarodowienia szkolnictwa ludowego oraz około poprawy materyalnego bytu nauczycielstwa.

Założone w czasie, kiedy oświata ludowa w Galicyi znajdowała się na bardzo nizkim poziomie, kiedy szkół było bardzo mało i bardzo mało ukwalifikowanych nauczycieli, potrafiło przy niesłychanej gorliwości swych przewodników, między którymi byli tak zasłużeni mężowie, jak Karol Maszkowski, Antoni Małecki, Zygmunt Sawczyński, ks. Jerzy Czartoryski, St. Szczepanowski a ostatnio dr. Godzimir Małachowski — skupić pod swym



Jubileusz tow. pedagogicznego: Nowy prezes tow., poseł dr. Franciszek Tomaszewski.

sztandarem całe prawie polskie nauczycielstwo, przejąć je świętym zapałem i miłością dla sprawy oświaty ludowej i tą drogą przyczynić się w ogromnej mierze do podniesienia kultury kraju.

Z dumą więc i pełnem zadowoleniem może polskie tow. pedagogiczne spoglądać na minione lata swej działalności i z wiarą w przyszłość, bo choć w ostatnich paru latach żywotność towarzystwa, w szczególności niektórych kół prowincyonalnych, nieco osłabła, to jednak jest w niem jeszcze tyle siły, tyle mocy, iż chwilowe zaniedbanie będzie mogło wynagrodzić sowicie.

Dla uczczenia pamiętnej rocznicy odbył się w ubiegłym tygodniu we Lwowie zjazd jubileuszowy członków towarzystwa. Zjazd ten miał charakter i nastrój bardzo uroczysty, a zgromadził liczne grono członków, oraz sporo delegatów innych towarzystw. Na piewszem uroczystem zebraniu powitał uczestników wiceprezes towarzystwa dyrektor K. Jaworski, poczem składali życzenia towarzystwu goście, między tymi ks. arcybiskup Bilczewski i wiceprezydent Rady szkolnej kraj. dr. Dembowski.

Następnie przez dwa dni toczyły się obrady nad sprawami zawodowemi, oraz nad rocznem sprawozdaniem wydziału. Między innemi dokonano na tym zjeździe wyboru nowego prezesa towarzystwa, w miejsce zasłużonego, a zmarłego przedwcześnie posła dr. Małachowskiego. Wybór padł na posła dr. Franciszka Tomaszewskiego, dyrektora gimnazyum.

W odrodzonej Turcyi.

Dziwne zaiste i niezwykłe zjawisko przedstawia dzisiejsze życie wewnętrzne państwa otomańskiego. Przez długie lata krępowana absolutnemi rządami wolność obywatelska, korzysta teraz z nadanej konstytucyi w całej pełni, jakby w obawie, by ten „sen złoty" nie przeminął, by nowa era nie okazała się tylko złudzeniem i marzeniem. Więc manifestacye za manifestacyami odbywają się we wszystkich miastach tureckich. Obywatelskie prawa, dzisiejszemu pokoleniu rzecz zgoła poprzednio nieznana, wydają się tam rajem istnym, a ludność upaja się niemal świadomością ich posiadania i możnością korzystania z nich.

To też nietylko w Konstantynopolu ale i w innych miastach widzieć można bardzo często grupy poważnych Turków, rozprawiających na ulicy o najważniejszych zagadnieniach politycznych. Zwłaszcza zbliżające się wybory do tureckiego parlamentu dostarczają tematu do takich pogadanek.

Bo nieodłączną konsekwencyą konstytucyi i rządów parlamentarnych muszą być wybory, a te wywołują zawsze roznamiętnienie i dyskusye. Agitacya przedwyborcza rozpoczęła się już w państwie sułtana, odbywają się zgromadzenia i inne „ceremonie", nierozłącznie z tym doniosłym objawem życia konstytucyjnego związane.

A tymczasem popularny dziś w swem państwie sułtan Abdul-Hamid, manifestuje i ze swej strony konstytucyjne dążności, pojawiając się bardzo często na ulicach rezydencyi. Witają go owacyjne okrzyki ludności, witają fanfary orkiestr wojskowych, co wszystko napawa schorowanego władcę radością i dumą.

Kłopot ma tylko sułtan i jego rząd z niewiastami swemi, bo i one pragną korzystać w całej pełni z praw obywatelskich. I okazało się, że niewiasty te, które Europa znała dotąd tylko z bajek i opowiastek haremowych, są umysłowo znacznie wyżej rozwinięte i



Jubileusz tow. pedagogicznego: Grupa uczestników zjazdu z wiceprezydentem kraj. rady szkolnej dr. Dembowskim (X) w pośrodku. Fot. M. Münz, Lwów.

dojrzałe, niżby to się wydawać mogło. Sielankę konstytucyjno-przedwyborczą w Turcyi przerywają jednak od czasu do czasu zajścia poważne, przypominające, że jednak konstytucya ta zdobytą została drogą rewolucyi i że ta rewolucya nie wygasła dotąd. Ostatnim objawem i dowodem tego wrzenia była manifestacya w czasie pogrzebu popularnego a nagle zmarłego ministra wojny Redyi-baszy. Ponieważ krążyły pogłoski, że minister ten został w więzieniu otruty, albo też, że się z powodu prześladowań otruł, przeto radykalnie nastrojone koła tureckie urządziły podczas pogrzebu wielką manifestacyę.

Zdjęcie fotograficzne z manifestacyjnego pogrzebu Redyi-baszy oraz kilka zdjęć z Turcyi zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Zjazd nauczycielstwa słowiańskiego w Pradze.

Nauczycielstwo słowiańskie staje obecnie przed wielkiem i pierwszorzędnem zadaniem dla narodów słowiańskich, jakiem jest kwestya wychowania narodowego. Tę właśnie niezwykle ważną sprawę obrano za przedmiot obrad zjazdu słowiańskiego nauczycielstwa, jaki w sierpniu odbył się w Pradze. Kwestyę narodowego wychowania omówiono też na zjeździe wszechstronnie i dokładnie, rozpatrując szczegółowo motywy biologiczne, psychologiczne i socyologiczne wychowania narodowego, znaczenie narodowości w wychowaniu, wzajemność, pokrewieństwo i różność pracy i walkę narodowościową, wpływ narodu na szkolnictwo, wychowanie narodowe w szkole i po za szkołą, zmianę planów naukowych i podręczników dla różnych przedmiotów naukowych w duchu narodowym i td.

Trzydniowe obrady zjazdu nad sprawą narodowego wychowania znalazły następnie poważny epilog w powołaniu do życia „Związku nauczycielstwa słowiańskiego w Austryi“, którego celem jest pracowanie nad rozwojem wykształcenia nauczycielstwa słowiańskiego i podniesienie całego szkolnictwa słowiańskiego przy pomocy odczytów i kursów dla kształcenia, zjazdów nauczycielstwa słowiańskiego i dyskusyi o kwestyach szkolnych i nauczycielskich, wydawania czasopism i referatów o szkolnictwie, wspierania jednostek i stowarzyszeń nauczycielskich, urządzania wspólnych wycieczek nauczycielskich naukowych itp.

Zjazd odbył się przy udziale około 7000 osób a wzięło w nim udział także wielu posłów i przyjaciół szkolnictwa, reprezentantów różnych instytucyj i stowarzyszeń oświatowych. Przez swych delegatów reprezentowane były wszystkie narody



W odrodzonej Turcyi: Obrady polityczne na ulicy w Salonikach.



W odrodzonej Turcyi: Fragment ze zgromadzenia przedwyborczego w Konstantynopolu.



W odrodzonej Turcyi: Owacye na ulicach Konstantynopola z powodu pojawienia się sułtana w powozie.



W odrodzonej Turcyi: Manifestacyjny pogrzeb ministra wojny Redji-baszy.



Zjazd nauczycielstwa słowiańskiego w Pradze: Polska grupa. 1. prezes Nowak; 2. sekr. Bieroński; 3. p. Robak.

słowiańskie, zamieszkujące Austryę. Najliczniej, bo w liczbie przeszło 200, stawiło się nauczycielstwo polskie, które przybyło na zjazd z ramienia galicyjskiego „Związku nauczycielstwa ludowego" (z siedzibą w Krakowie) z prezesem St. Nowakiem, sekretarzem W. Bierońskim i całym wydziałem wykonawczym na czele.

Liczną wycieczkę nauczycielstwa galicyjskiego do Pragi zorganizował i dzielnie nią kierował p. Józef Robak, nauczyciel z Krakowa. Uczestnicy zjazdu poświęcili dni wolne od obrad zwiedzeniu wspaniałej wystawy jubileuszowej w Pradze oraz wycieczkom w okolice Pragi: do zamku Karlstejn, Kutnej Hory i parostatkiem na Mielnik dla poznania śluz na Wełtawie, zbudowanych kosztem 4 mil. koron. Znaczny zastęp uczestników w powrocie do Krakowa puścił się Łabą przez czesko-saską Szwajcaryę do Drezna, potem do Wrocławia, zwiedzając w Dreźnie i Wrocławiu zabytki sztuki i pamiątki historyczne oraz sławne na cały świat muzea szkolne. Cząstka także pojechała do Wiednia i stąd Dunajem do Budapesztu.

Grupę polskich uczestników tego wspaniałego zjazdu, zebranych w jednym z ostatnich dni obrad pod murami muzeum narodowego przy placu św. Wacława w Pradze, zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Wśród obecnych znajdą Czytelnicy prócz inicyatorów i kierowników wycieczki pp. Bierońskiego, Nowaka i Robaka, wielu znanych ze swej działalności publicznej działaczy-pedagogów.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

12

Zofia przerażona rozdrażnieniem hrabiego, spytała:

— Czy chcesz papo mówić ze mną w sekrecie o moim mężu?

— O nim, o tobie, o sobie! Chodźmy do twojej oranżeryi na pierwszem piętrze, bo to jedyne miejsce w waszym domu, w którem można rozmawiać spokojnie, bez obawy, że ktoś podsłuchuje.

Po usadowieniu się w cieplarni na wygodnej kanapce, umieszczonej w pobliżu ochładzającej powietrze fontanny, hrabia wlepił błyszczący wzrok w córkę i rzekł, cedząc powoli wyrazy:

— Jakże ty jesteś teraz z mężem?

— Co papa chce przez to powiedzieć? — szepnęła młoda kobieta, oburzona szorstkością zapytania.

— Drogie dziecko, całe twoje postępowanie było postępowaniem córki wzorowej... za co też jestem tobie całem sercem wdzięczny. Żałowałem cię nawet... i żałuję dotąd z głębi duszy... lecz groziła nam tak straszna klęska, że zmuszeni byliśmy uledz woli przeznaczenia... Wyrwałaś mnie z otchłani nędzy i uchroniłaś od hańby, dziękuję ci za to raz jeszcze.

— Czegóż więcej żądać możesz odemnie, mój ojcze?

Przeszył ją znowu badawczym wzrokiem.

— Mąż twój kocha cię szalenie... ty zaś nie kochasz go wcale. Wiem o tem i przyznaję, że masz poniekąd słuszność. Lecz powiedz mi szczerze, czy nie rozdrażniłaś go jakim krokiem nieroztropnym? Czy nie obraziłaś go swoją dumą?

— Co pozwala ci papo przypuszczać coś podobnego?

— Czy zadowolniłaś jego pragnienia miłosne? — zapytał hrabia cichym głosem.

— Och mój ojcze! — szepnęła Zofia zarumieniona od wstydu.

— Prawdopodobnie wyrażam się zbyt brutalnie, lecz my mężczyźni nie umiemy o tych rzeczach mówić z córkami, ty zaś biedna sieroto nie masz matki... Wiele bardzo zawdzięczamy baronowi... Tylko ty jedna, jedyna możesz mu spłacić dług, przez nas zaciągnięty... Nie wątpię, że to uczyniłaś, lecz lękam się, czy przypadkiem pycha ci wrodzona nie popsuła nam interesów, gdyż Korf nie postępuje ze mną tak, jak się tego po nim spodziewałem. Trzyma mnie jeszcze w swoich łapach, a powiem ci szczerze, że nie chciałbym gościć w nich zbyt długo...

Twarz Zofii wykrzywiła się bolesnym skurczem. Jakto? Więc ciągle jeszcze ojciec rodzony zajmuje się brudnemi sprawami materyalnemi i mętnymi interesami pieniężnymi? Zdawało się jej, że już raz na zawsze skończyła z ohydnem bezeceństwem, które zmusiło ją do upokarzającej ofiary, a tu w chwili, gdy dopiero zaczyna się przyzwyczajać do nowego życia, cała ta szkarada powraca. Odwróciła się od ojca ze wstrętem, lecz hrabia udawał, że nie spostrzega jej wstrętu i omawiał dalej swoje kłopoty z najspokojniejszym cynizmem.

— Ze względu na okoliczności, które ci niegdyś wyjaśniłem, a o których obecnie, jak sądzę, mówić nie potrzebuję...

— O nie... nie mój ojcze!

— Obarczony byłem około dwoma milionami długów. Zresztą wszyscy moi wierzyciele pokładali we mnie ufność bezwzględną, znali bowiem moje plany na przyszłość i wierzyli w ich spełnienie. Twój mąż zachowywał się z początku bardzo ładnie... zupełnie poprawnie! Skoro tylko przyrzekłaś, że wyjdziesz za niego, zapłacił wszystko. Spodziewam się, że mógł być wspaniałym i hojnym, żenił się przecież świetnie!... Lecz teraz, niemal zaraz po ślubie, zmienił postępowanie. Pomimo, że parę razy zwracałem się do niego z wcale przejrzystemi aluzyami do stanu rzeczy, zdaje się nie rozumieć, że papiery i wszelkie dokumenty, odnoszące się do moich długów, powinny mieścić się nie w jego, lecz w mojej kasie... Bo wyobraź sobie moja droga, jestem teraz dłużnikiem nie pięćdziesięciu szubrawców, których traktowałem z góry, lecz jednego, potężnego wierzyciela, a tym wierzycielem w dodatku jest mój zięć... To rzecz, na którą zgodzić się nie mogę!

I Wielohradzki, jakby srodze skrzywdzony, powtarzał kilkakrotnie:

— Na to pod żadnym pozorem zgodzić się nie mogę... nie mogę! Nie chcę zależeć od faceta...

— Któremu winieneś wdzięczność papo—przerwała Zofia oburzona.

Nie kochała męża, lecz czuła i rozumiała, że od chwili, w której został jej przedstawiony, odgrywał on stokroć piękniejszą i szlachetniejszą rolę, niż jej brat i ojciec.

— Chciałabyś może bronić go przedemną? — zawołał hrabia z uniesieniem.

Lecz w jednej chwili zmiękł znowu i mówił słodkim głosem:

— Baron, moja droga, zgromadził wszystkie moje papiery w jeden pęk aktów, tworzących grubą księgę. Wyniósł ją z biura... Karol to widział... i jestem prawie pewny, że ukrył ją tutaj... może w celu doręczenia mi nie przy świadkach, lecz sądzę, że się zanadto spóźnia, że mógł mi ją oddać oddawna... Czy nie mówił czasem z tobą coś o tem?

— Nie rozmawiam z moim mężem o jego interesach.

— Musiałaś jednak widzieć moje akta u niego... Są w pracowni... tam... obok oranżeryi...

Korf istotnie urządził swoją prywatną pracownię tuż obok cieplarni, w pokoju podobnym do małego saloniku Zofii. Drzwi od niej były ledwo przymknięte.

Hrabia powstał z kanapki i po cichu zbliżył się do nich. Uchylił je... i od razu dostrzegł na stole barona olbrzymi plik weksli, pozwów i wyroków, tworzących razem grubą księgę, objętą okładką z szarego papieru. Już się posunął, żeby ją pochwycić, lecz Zofia poskoczyła i zagrodziła mu drogę.

— Och papo! — zawołała. — Tu nic ruszać nie wolno!

— Powiedz, że gdy weszłaś do pokoju, spostrzegłaś papiery... i mimowoli przyszło ci na myśl...

— Nie mogłabym nic podobnego powiedzieć, nie wchodzę tu nigdy.

— Czy tak? No, to stosunek wasz nie jest zbyt serdeczny.

— Nie chcę, aby ktokolwiekbądź pod nieobecność mego męża poruszał coś w tym pokoju.

Hrabia spojrzał na nią krzywo i mruknął:

— Niepotrzebne skrupuły! Mam nadzieję, że z nich wyrośniesz.

Zofia stała wciąż przed drzwiami, wiodącemi do apartamentu Korfa.

— Zgoda! zgoda! niech będzie, jak chcesz — rzekł Wielohradzki. — Może masz słuszność. Sądzę jednak, że byłoby wcale nieźle, gdybyś dała nauczkę memu panu zięciowi...

— Ja! Miałabym dawać baronowi nauki? — szepnęła Zofia zmieszana.

— Widzę moja droga, że ty, która go dotąd lekceważyłaś, rozgorzałaś doń niespodzianie nielada sentymentem!

— Nie potrzebuję, papo, zwierzać ci się z moich sentymentów. Stwierdzę tylko, że postępowanie mego męża tak ze mną jak względem moich było i jest ciągle tak delikatnem, że nie mogę mu nic innego powiedzieć, jak: dziękuję.

Hrabia poczerwieniał od gniewu. Spodziewał się, że Zofia, którą tak nikczemnie poświęcił dla swoich interesów, będzie mu jak dawniej powolną i uległą, tymczasem ona ośmielała się stawić mu czoło. Uspokoił się po chwili przekonany, że córka jest jeszcze bardzo głupią; czas ją jednak wkrótce odmieni. Więc ucałował Zofię i rzekł zrezygnowany:

— Widzę, że zbłądziłem, licząc na ciebie. Bądź zdrowa!

— Ile razy mój ojcze zażądasz odemnie rzeczy sprawiedliwej, śmiało będziesz mógł liczyć na mój szacunek i posłuszeństwo...

— Jeśli ci się zdaje, że sprawiedliwość istnieje na tym świecie, to się grubo mylisz moja droga! Ale mniejsza o to. Bądź zdrowa.

Zapalił papierosa; poczem z jednego z krzaków róż, rosnących tu w olbrzymich, drewnianych donicach, zerwał różę i podał córce, żeby mu ją wpięła w dziurkę od surduta, a gdy ta spełniła jego życzenie, uśmiechnął się zadowolony, jakby nic nieprzyjemnego go nie spotkało, wykręcił się na pięcie i wyszedł.

Na schodach myślał:

— Spudłowałem! lecz co dziś się nie udało, uda się innym razem.

Zofia, pozostawszy sama, zalała się łzami. Czuła się strasznie upokorzoną. Z małżeństwa, niechętnie przez nią zawartego, rodzina jej pragnęła nieustannie ciągnąć zyski materyalne... Jaki to wstyd dla niej! Wszakże jej mąż, człowiek niekochany, w stosunkach z nią unikał zawsze nawet wzmianki o sprawach pieniężnych; wszakże obecnie całą jego ambicyą było oznakami szczerego uczucia zdobyć serce żony.

Wchodząca do oranżeryi Rutkowska zastała synowę zapłakaną.

— Domyślam się — rzekła po chwili — przyczyny łez twoich. — Wywołał je prawdopodobnie mój syn zachowaniem się gwałtownem.

Po sposobie, w jakim o nim mówiła, łatwo było odgadnąć, że chociaż matka, wstydzi się prawie, że za nim przepada. Odczuć można było z półsłówek i niedomówień, oraz z tonu jej głosu, że mu coś wyrzuca, co może być czynem godnym surowego potępienia... Lecz matki bywają zwykle dla synów słabe i wyrozumiałe, a jedynaków kochają całą duszą pomimo wszystko, co mogłyby im zarzucić...

Zofia ma się rozumieć zaprzeczyła, zapewniając świekrę, że mąż względem niej nie zawinił wcale, że jest dobry, uprzejmy...

— Ta, ta, ta! wiem niestety, do czego on zdolny!... Przyznaję jednak, że obecnie nie unosi się tak często, ani tak gwałtownie, jak dawniej. To ty, moja najmilsza, wpłynęłaś na niego dodatnio... ty, która stałaś się aniołem jego życia.

— Na wszystko proszę cię, mateczko, nie mów mu, że widziałaś mnie płaczącą.

— Broń Boże! Nie myślę się wtrącać do was, uważam bowiem mieszanie się osób trzecich w sprawy małżeńskie za rzecz złą i bardzo niewłaściwą. Kontentuję się tem, co jest mojem przyrodzonem prawem i zarazem szczęściem mojem, kochając was bardzo... oboje.

W parę dni potem Rutkowska zapowiedziała swój wyjazd, a po zapowiedzi dnie całe spędzała z Zofią, nie opuszczając jej niemal na chwilę, jakby chciała nacieszyć się jej widokiem i wykorzystać ostatnie godziny pobytu swego w Warszawie. Baron udawał przed matką najszczęśliwszego z ludzi, co Zofię przerażało nieco. Obawa jej wzrosła jeszcze, gdy świekra — błagając oboje, by jak najspiesznie odwiedzili ją w Prowancyi — opuściła wreszcie Polskę. Lecz Korf nie zmienił swego postępowania. Otaczał żonę najczulszemi staraniami, nie wychodził z domu, chyba dla załatwienia jakiegoś ważnego lub pilnego interesu, lecz nie upominał się wcale o swoje prawa małżeńskie.

Przeciwnie, zachowywał się prawie jak nieśmiały i przejęty głębokim szacunkiem narzeczony. Co wieczór odprowadzał Zofię do drzwi jej pokoju i nie przestępując progu, całował ją w rękę. Pocałunek jego jednakże palił dłoń młodej kobiety, jak żelazo zaczerwienione w ogniu i przejmował ją strachem ogromnym, świadczył bowiem, że Korf nie przestaje kochać żony namiętnie.

II.

Żyje!

Obecnie Zofia, pozostawszy sama, zupełnie swobodna, niekrępowana niczem i pewna, że mąż nie roztacza nad nią żadnego nadzoru, postanowiła pod pozorem przechadzki udać się na Pragę, odszukać dworek, w którym Zygmunt zamieszkiwał niegdyś i dowiedzieć się, na którym cmentarzu go pochowano. Następnie, gdy jej to powiedzą, grób jego obsadzić kwiatami i przychodzić kiedy niekiedy pomodlić się na mogile, kryjącej ukochane zwłoki. Wierzyła niezachwianie, że umarł. Widmo, które się jej ukazało w kościele, było tylko hallucynacyą!

Pewnego dnia po krótkiej przejażdżce w Alejach Ujazdowskich i Łazienkach, odesłała powóz, polecając służbie, aby powiedziała, że powróci do domu pieszo. Poczem osłoniwszy twarz bardzo gęstą, podwójną woalką, wsiadła do jednego z tramwai, idących na Pragę. Wiedziała, że nie robi nic złego, lecz bądź co bądź jako żona barona Korfa chciała zachować pewne decorum i nie narażać ani siebie, ani jego na złośliwą obmowę, o którą w Warszawie nie trudno. Wysiadłszy za mostem udała się na lewo, do dzielnicy położonej nad Wisłą, w której krzyżowały się wąskie uliczki z małymi domkami i drewnianymi parkanami, z poza których wyzierały drzewa i krzewy większych i mniejszych ogrodów i ogródków. Postanowiła nie pytać nikogo o drogę, kierując się tylko informacyami, jakie niegdyś otrzymała od Zygmunta. Po przeszło godzinnej krętaninie spostrzegła nareszcie na jednym z narożników nazwę ulicy, wskazanej jej przez nieboszczyka do adresowania listów.

— Tu mieszkał — szepnęła.

Kilka minut przynajmniej stała tchu pozbawiona i nieruchoma, nie śmiejąc wejść w uliczkę. Pytała się siebie: co uczyni, gdy i dom znajdzie? Czy wejdzie? A jeśli wejdzie, to pod jakim pozorem? Czy mieć będzie odwagę zwrócić się wprost do babki Zygmunta, albo do starego sługi, o którym nasłuchała się wiele od lubego?... Nie! Dziś przynajmniej nie ośmieli się przemawiać do nich... Zapyta sąsiadów. Wszakże tu mieszkają ludzie biedni, zwykle gadatliwi, od nich więc dowie się u wszystkiem. Po namyśle wsunęła się w wąską przecznicę, źle zabrukowaną polnemi, nierównemi, ostremi kamieniami, ocierając się o odarte z tynku drewniane, pochylone ściany starych dworków, to o ceglane mury nowych, piętrowych kamieniczek, to wreszcie o parkany ogrodów. W miarę jak zbliżała się do numeru, pod którym Zygmunt zamieszkiwał, serce jej ściskało się coraz bardziej.

Nagle zdało się jej, że ziemia rozstępuje się pod nią. Usłyszała... usłyszała rzeczywiście głos jego, szepczący z rozdrażnieniem:

— Nie Protazy, nie!... Nie chcę do domu... tu mi dobrze, ciepło...

Zofia padła na kolana, wstrząśnięta gwałtownem łkaniem.

Zygmunt żyje! Widzi go przez szpary w parkanie, przykrytego kołdrami, leżącego na olbrzymim fotelu z kółkami, a tak bladego, jakby śmierć nie utraciła nad nim władzy.

Stara babka, znana jej dobrze z jego opowiadań, jak zawsze wykwintnie ubrana, w rękawiczkach na szczupłych rękach, w koronkowej zasłonie, pokrywającej jej białe włosy, mówi do eks-żołnierza:

— Niechże Protazy pozostawi go w spokoju, jeśli mu dobrze leżeć na słońcu...

— No, no — mruczał Protazy pod nosem — gdybym zrobił tak, jak księżna pani rozkazuje, toby mnie doktór skrzyczał, bo przecie kazał koniecznie przenosić panicza o tej właśnie porze do domu.

Od tej chwili, w której Zygmunt popełnił szaleństwo, wymykając się do kościoła PP. Wizytek na ślub Zofii, stary sługa stał się bardziej stanowczym, bezwzględnym i nieugiętym w obchodzeniu się z pacyentem; więc nie zważając na opozycyę babki, zaczął posuwać fotel ku dworkowi. Gdy już byli blisko drzwi, chory zawołał:

— Daj mi moją różę...

Protazy schylił się i podał swemu panu wazonik z niewielkim krzakiem, obsypanym licznymi kwiatami. Zygmunt, trzymając doniczkę w słabych dłoniach, kilka minut poił się ich wonią... Zofia poznała w krzaku, przez niego trzymanym, rozwiniętą i rozłożystą gałązkę róży bengalskiej, daną mu niegdyś w Sielance.

Gdy fotel na kółkach zniknął z chorym we drzwiach dworku ona z trudnością podniosła się z klęczek. Łzy na jej ogniem płonących licach zaschły nagle. Uczuła tak silne ściśnienie gardła, że aby odetchnąć rozerwała bezwiednie kołnierzyk u sukni. Czy podobna? czy podobna? Zygmunt żyje... a ona należy do innego!... Całe życie do niego należeć musi przez wdzięczność... przez wdzięczność...

— Nie! nie!... nie chcę!... Ponieważ nie mogę być żoną Zygmunta...

Spostrzega przed sobą uliczkę, wiodącą ku Wiśle. Nie wiedząc, co czyni, bieży pędem nad rzekę, staje na drewnianym pomoście, wysuwającym się na wysokich, dębowych palach z brzegu na głębinę. Służy on rybakom do nocnego ryb połowu... Chce rzucić się w nurty, rwące tu w dal wartkim wirującym prądem, lecz nagle przychodzi zastanowienie...

— Nie mogę! nie mam prawa! — szepcze — złamałabym dane słowo... zerwałabym dobrowolnie zawartą umowę... Jestem własnością mego męża... nie wolno mi już rozporządzać moją osobą, mojem życiem..

Czas jakiś stała jeszcze nad wodą, lśniącą w promieniach słonecznych łuską złotą, nęcącą nadzieją wiecznego spokoju.. Nie śmiała również, pomimo gorącego pragnienia, powrócić przed dworek, zamieszkany przez Zygmunta, bo czuła, że gdyby się do niego zbliżyła, weszłaby niezawodnie, a tego zrobić nie może, nie powinna. Obowiązkiem jej było uszanować wiarę, zaprzysiężoną mężowi, chociaż on jej obcy zupełnie... chociaż go wcale nie kocha...

III.

Napróżno.

Gdy powróciła do domu, wezwano ją do obiadu. Siadając przy nakrytym stole, rzekła do męża cichym i drżącym głosem:

— Spóźniłam się... przepraszam...

— O! — odparł Korf — nigdy nie wezmę ci za złe, jeśli się spóźnisz po wizytach, jakie oddajesz swoim biednym...

W dobrej wierze sam dostarczał wymówki żonie. Poczem dodał:

— Tylko i mnie pozwól czasem brać udział w pomocy, jakiej im udzielasz.

Następnie w ciągu całego obiadu milczeli obo-



Zofia poskoczyła i zagrodziła mu drogę.

je prawie nieustannie. Zofia zauważyła, że mąż jej jest czemś bardzo zajęty.

Wieczorem o godzinie, w której zwykle przychodził mówić jej dobranoc — udał się on do swojej pracowni i po chwili powrócił, niosąc pod pachą gruby plik papierów, w którym Zofia poznała akta ojca.

— Moja droga — rzekł nieco zakłopotany — czy pozwolisz mi pomówić z sobą na osobności?

Młoda kobieta spojrzała pomieszana na niego i na papiery, które teraz trzymał w ręku. Przypuszczenie przeleciało jej przez mózg jak błyskawica: może pod grozą tych aktów zechce znowu narzucać się jej ze swą miłością... Nadto niepokoiła ją myśl, że na parterze, w salonie otwartym i przystępnym dla wszystkich, zwłaszcza dla służby, ktoś podsłucha tajemnicę jej małżeństwa i dowie się o hańbie rodziny Wielohradzkich... Rzekła więc bardzo uprzejmie:

— Proszę pana... chodźmy na pierwsze piętro.

Sądziła, że zatrzymają się w oranżeryi, lecz baron wskazał jej za zieloną gęstwiną roślin cieplarnianych i krzaków róż, przywiezionych z Sielanki, ukryte drzwiczki, wiodące na boczne schody.

— Obawiam się niedyskrecyi, a tu również nie jesteśmy bardzo bezpieczni... Pozwól mi wejść do swoich pokoi, albo bądź łaskawa wejdź do mojej pracowni.

Chciała przekonać siebie i męża, że go się nie lęka, powiedziała zatem śmiało, głosem pewnym:

— Proszę... proszę do mnie.

Weszli do jej małego saloniku. Korf położył naprzód akta na stole, następnie zaś zamknął drzwi. Długo milczał onieśmielony i zakłopotany widocznie. Zofia, która przeciwnie zdawała się być zupełnie spokojną, zapytała go głosem słodkim:

— Czy pomoc moja może ci się na co przydać, mój przyjacielu?

— Pragnąłbym, żebyś chciała mnie wysłuchać pobłażliwie i z wyrozumiałością ci właściwą — mówił Korf powoli. Jakkolwiek zwykle porozumiewamy się z sobą bardzo szczerze, mam dziś do zakomunikowania ci rzeczy tak drażliwe, a poniekąd nawet przykre, że...

— Proszę bardzo, mów śmiało.

— Mogę wyrazić się fałszywie, albo niedość jasno... a ty gotowa jesteś pomyśleć, że przechwalam się oddaną przysługą...

— Uwierzę wszystkiemu, co mi powiesz, bo wiem, że równie jak ja nienawidzisz kłamstwa. Mów zatem, proszę...

— Zatem... zatem moja droga...

Położył rękę na papierach.

— Chodzi tu o pieniądze!.. Dotąd bardzo rzadko mówiliśmy o nich; teraz zaś, zdaje mi się, że mówić o nich będziemy po raz ostatni. Przebacz mi, jeśli kiedy niekiedy wyrażę się niedość delikatnie... Zapewniam cię, że czynię wszystko, co jest w mojej mocy, aby nie przekroczyć granic wskazanych przez dobre wychowanie i zwyczaje towarzyskie.

Czuć było łzy w jego głosie. Zamilkł na chwilę pragnąc zapanować nad wzruszeniem.

— Muszę mówić z tobą o twoim ojcu, a konieczność każe mi mówić bez ogródek i swobodnie... Niestety nic dobrego powiedzić ci o nim nie mogę...

— Panie! — zawołała Zofia oburzona.

— Zbyt wiele cierpisz przez niego, abyś nie miała mnie wysłuchać do końca.

— Nie przyznaję sobie prawa sądzenia moich najbliższych.

— Miałabyś zupełną słuszność, gdyby i oni rządzili się twoim sposobem myślenia, lecz oni względem ciebie, a nawet i względem wszystkich... rządzą się tak strasznym egoizmem, że uważam za mój obowiązek... ciebie przynajmniej... bronić od nich.

Głos Korfa brzmiał teraz dźwiękiem śmiałym i mocnym. Zofia czuła, że powinna go wysłuchać życzliwie.

— Ohydnym i wstrętnym był układ, na mocy którego połączono nas węzłem małżeńskim. Poświęcono cię, rozporządzono tobą jak cennym, lecz martwym przedmiotem, albo pierwszą lepszą posiadłością ziemską, czy miejską... Och! nie przerywaj mi z łaski swojej!... Powiesz, że byłem współwinnym, że skorzystałem z układu...

— Zdaje mi się w rzeczy samej, że mniej od kogokolwiekbądź innego masz prawo potępiać postąpienie mego ojca w tym względzie!

— Mógłbym łatwo odpowiedzieć, że mnie usprawiedliwia miłość szalona... lecz przyrzekłem nie nudzić cię moją miłością...

Westchnął głęboko, poczem mówił dalej, a głos jego brzmiał boleśnie.

— Jaki koniec mieć będzie nasze położenie? Czy na zawsze pozostaniemy sobie obcymi?... Nie wiem. Zresztą nie o tem miałem mówić w tej chwili... Jesteś moją żoną, chcę zaś, żeby żona moja była swobodną, szczęśliwą, niekrępowaną nigdy troskami życiowemi. Jeśli zgadzam się na to, abyś nie zależała odemnie, nie myślę pozwolić, abyś się dostała pod władzę ojca.

Zofia pochyliła głowę. Zrozumiała szlachetny zamiar męża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwie ostateczności.

Nietylko u nas po jarmarkach i odpustach cieszą się liczną frekwencyą różne budy i wędrowne muzea, przedstawiające rozmaite osobliwości



Dwie ostateczności: Żyjący szkielet, dwudziestopięcioletni Tröb, ważący 20 klgr.

natury, np. cielę z dwoma głowami lub pięcioma nogami, ale prawie wszędzie na świecie jest dość ciekawych, którzy chętnie wydają pieniądze, aby tylko zobaczyć takie „cudowności“.

Obecnie produkuje się we Wiedniu, w miejskiem panopticum, niejaki Tröb, który choć liczy dwadzieścia pięć lat życia a 168 cm. wysokości, waży tylko dwadzieścia kilogramów. Jego podściółka tłuszczowa jest zupełnie nierozwinięta, także i mięśnie są bardzo wiotkie, natomiast organa wewnętrzne ma zupełnie normalne. Tröb jest żonaty i jest ojcem zupełnie prawidłowo rozwiniętej córeczki. Głodomorem wcale nie jest.

Wiedeńczycy z wielkiem zainteresowaniem oglądają dziwo natury, które, jeśli tak dalej pójdzie jak dotąd, wkrótce spowszechnieje, gdyż przy tych ciężkich czasach i my gotowiśmy osiągnąć tę samą co Tröb wagę!

Natomiast w berlińskim Apollo-teatrze oglądać można inną osobliwość. Pan Rafayette doprowadził tresurę swego niewielkiego buldoga do tej doskonałości, że może stać na głowie na jego grzbiecie. Jeśli się weźmie na uwagę ciężar ciała dorosłego człowieka w stosunku do wielkości psa, możemy sobie wyobrazić, jak znów muszą być silnie rozwinięte mięśnie buldoga, aby mogły utrzymać na sobie ciężar ciała ludzkiego.

Widoczne z tego, że psom coraz lepiej na świecie, ludziom gorzej — słowem świat schodzi „na psy“. Berlińczycy delektują się tęgim buldogiem, Wiedeńczycy podziwiają żyjącego kościotrupa!

Piraci chińscy.

W państwie chińskiem, o którem teraz dzięki ruchowi w Persyi i Turcyi bardzo mało się słyszy i czyta, stosunki bezpieczeństwa na drogach lądowych i wodnych ciągle bardzo wiele pozostawiają do życzenia. Europejczyk, wogóle człowiek należący do rasy białej, narażony jest na każdym kroku na wielkie niebezpieczeństwo, gdyż ludność krajowa do przybyszów odnosi się z ogromną nieufnością, nie bez przyczyny obawiając się gospodarki mocarstw cywilizowanych w swych granicach. Nie słyszymy już wprawdzie o ruchu bokserów, skierowanym przeciwko Europejczykom, ale za to cały kraj, zwłaszcza więcej od wybrzeża morskiego oddalone okolice, wydane są na łup bandom rozbójników, przed którymi mają respekt nawet i miejscowe władze chińskie. Wiadomą jest rzeczą, że w państwie chińskiem gościńców prawie niema, a komunikacya wewnątrz kraju odbywa się głównie na drodze wodnej. To też piraci chińscy, operujący na tamtejszych ogromnych rzekach, są postrachem ludności. Rząd używa wszelkich środków, aby położyć kres ich gospodarce, jednak nie wiele to pomaga, mocarstwa zaś europejskie nie troszczą się wcale o oddalone od morza okolice, bojąc się nawet zapuszczać swe oddziały w głąb kraju, aby ich nie narazić na pewną zgubę.

Rzadko tylko udaje się władzom chińskim dostać w ręce piratów, a wtedy postępują z nimi z całą surowością. Rycina nasza przedstawia właśnie łódź chińską, opatrzoną armatą, obok której widzimy trzech skrępowanych piratów pod strażą chińskiego żołnierza, obok leży odebrana złoczyńcom zdobycz i broń różnego rodzaju, nieraz bardzo prymitywna, jakiej oni dotąd używają.

W ostatnich czasach, dzięki energicznym zarządzeniom rządu chińskiego, zaczynają się stosunki poprawiać, nie tak prędko jednak będzie można powiedzieć, że bandytyzm chiński znikł już z horyzontu — na to dzisiejsze Chiny są za słabe, a obszar państwa za wielki.

Narodowe święto węgierskie.

Największem świętem, jakie obchodzą Węgrzy, jest dzień, poświęcony czci pierwszego chrześcijańskiego króla Węgier, św. Stefana. Uroczystości, towarzyszące temu świętu, trwają przez cały tydzień, a rozpoczynają się uroczystą procesyą z relikwiami tego wielkiego króla, mianowicie z prawą jego ręką, którą w pięćdziesiąt lat po jego śmierci znaleźli pątnicy w grobowcu nienaruszoną.

Jak wielką jest w kraju cześć dla tego mądrego prawodawcy, świadczy chyba najlepiej fakt, iż niema na Węgrzech miasta, wsi, a nawet osady na odległej puszcie, aby bodaj kilka osób nie wy-



Dwie ostateczności: Akrobata Rafayette stojący na głowie na grzbiecie swego buldoga.

brało się stamtąd w pobożnej pielgrzymce do Budzina, gdyż każdy Madziar, bez różnicy wyznania, pragnie bodaj raz w życiu uczestniczyć w sławnej uroczystości.

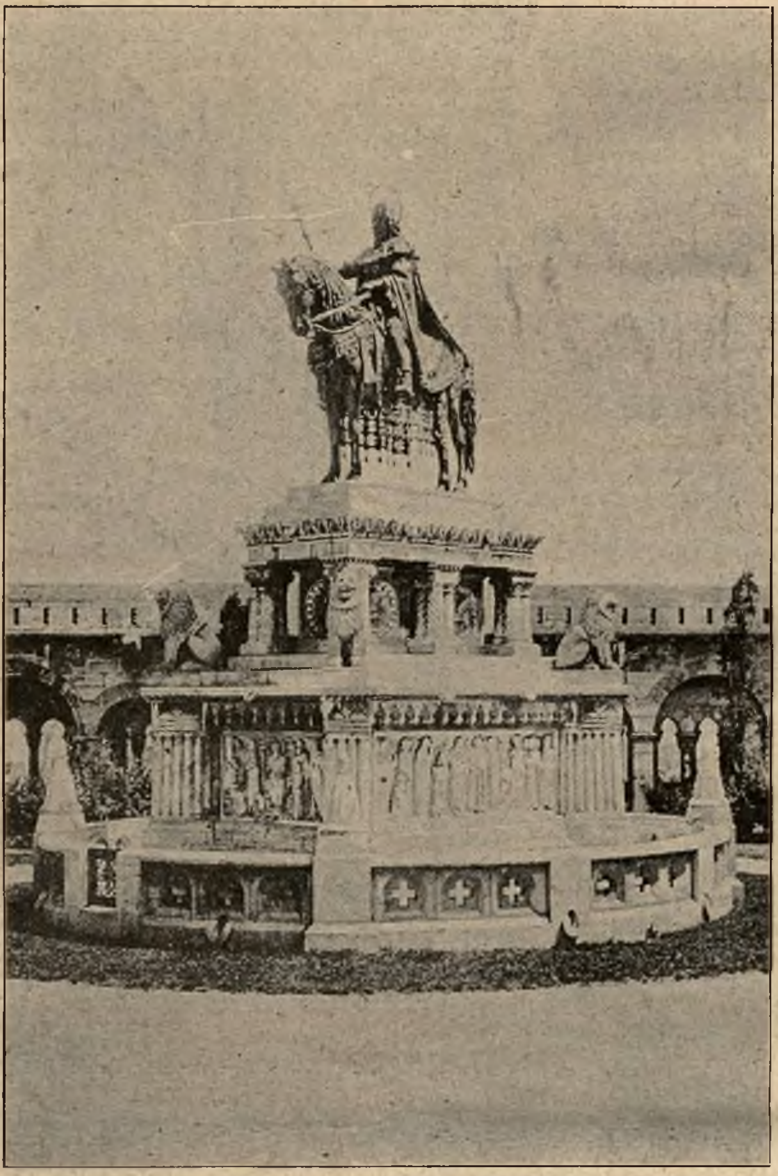
W dniu św. Stefana już o czwartej godzinie rano odzywają się wszystkie dzwony Budapesztu, poczem z wież kościelnych płyną wygrywane na



Piraci chińscy: Grupa przychwyconych na rzece Jang-tse-kjang rozbójników.

trąbkach wspaniałe hejnały i pieśni staromadziarskie. Kilkaset tysięcy ludu, przeważnie przybyłego z prowincyi, zapełnia szczelnie wszystkie place, ulice i ogrody ogromnej twierdzy budzińskiej.

Wreszcie z kaplicy pałacowej wyrusza procesya, w której oprócz niezliczonej masy kleru,



Narodowe święto węgierskie: Pomnik króla Stefana w Budapeszcie.

biorą udział dostojnicy cywilni i wojskowi z ministrami na czele. Wspaniały ten pochód podąża do kościoła koronacyjnego św. Macieja na mszę cichą i „*Te Deum*“.

Tu zajeżdża książę kardynał-prymas Vaszáry, a wojsko wita go salwami karabinowemi i stosownie do przepisów austryackim hymnem ludów. To rozdrażnia zazwyczaj patryotów madziarskich. Odzywają się świsty i okrzyki tak długo, aż muzyka umilknie. Wtedy tłum odkrywa głowy i intonuje węgierską rewolucyjną pieśń Kossutha.

Po tem nieuniknionem intermezzo następuje powrót do kaplicy zamkowej w zupełnym spokoju. Muzyka wojskowa gra węgierskie pieśni ludowe i wyprowadza część tłumu z pomiędzy murów twierdzy. Pozostali zwiedzają ogród królewski, zamek i czynią zakupna w tysiącznych jarmacznych budach, rozstawionych we wszystkich zaułkach i na stokach góry.

Z bramy zamkowej wyjeżdżają powozy, w których siedzą różne popularne figury, witane przez tłum sympatycznymi okrzykami. Wspaniałe delie magnackie mieszają się z barwnymi mundurami gwardzistów, bogatemi? mentami hajduków i najróżnorodniejszymi strojami ludowymi, reprezentującymi mody wszystkich komitatów. Widok to niecodzienny.

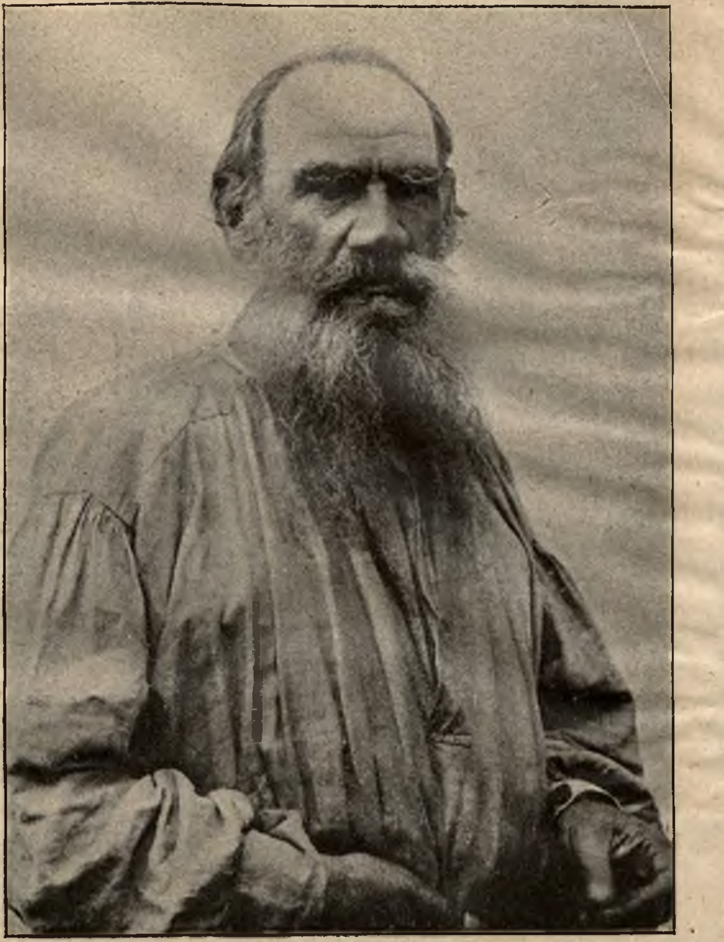
80-ciolecie wielkiego pisarza.

W bieżącym tygodniu ukończył 80 rok życia jeden z najwybitniejszych i najgłośniejszych pisarzy świata, umysł genialny i potężny, filozof głęboki a na wskróś oryginalny, Lew hr. Tołstoj, Niestety równocześnie dochodzi z Jasnej Polany, gdzie genialny pisarz pędzi swój żywot, smutna wieść o złym, nawet groźnym stanie jego zdrowia.

Od dłuższego już czasu świat cały spogląda z obawą ku tej postaci siwej i poważnej, wiedząc iż dni genialnego filozofa są już policzone. Coraz częściej zapada on na zdrowiu, więc coraz bliższą wydaje się chwila, w której umysł jego i głos zamilknie na wieki.

Lew hr. Tołstoj urodził się 1828 r. w Jasnej Polanie w gub. Tulskiej, a po ukończeniu studyów i odbyciu służby wojskowej, zamieszkał w swych dobrach, poświęcając się pracy na roli oraz pracy literackiej. Dziełami swemi, pełnemi treści głębokiej, wsławił Tołstoj imię swe na wieki.

Pisma Tołstoja, to szereg utworów belletrystycznych współczesnych, a dalej rozprawy z zakresu pedagogii, wiary, etyki i ścisłej filozofii. Zwłaszcza w latach późniejszych swego życia, zostawił Tołstoj twórczość artystyczną na dalszym planie a zatapiał się w rozprawach filozoficznych, komentował na swój sposób ewangelię a oraz głosił potrzebę powrotu do prostoty, potrzebę miłości bliźniego i pracy fizycznej. Sam też ubierał się odtąd po chłopsku, orał, siał własnoręcznie zboże a po nadto uprawiał wszelkiego rodzaju ćwiczenia fizyczne i sporty.



80-ciolecie wielkiego pisarza: Lew hr. Tołstoj.

Działalność tego rodzaju zjednała mu jednak nie tylko bezwzględnych zwolenników i wielbicieli, ale też zaciętych przeciwników i wrogów. Wyklinany parokrotnie z powodu swych zapatrywań religijnych, głosił je mimo to dalej, pragnąc wszelkimi sposobami zasady swe spopularyzować i zjednać im jaknajwięcej wiernych.

Nie pora tu jeszcze o działalności genialnego tego męża sąd wydawać. Działalność ta jeszcze nie zamknięta. W każdym razie stwierdzić można, iż Lew hr. Tołstoj — to umysł dziś bodaj czy nie największy, nie najpotężniejszy wśród współczesnych.

Z okazyi rocznicy urodzin wielkiego myśliciela, zamieszczamy dziś jego portret oraz kilka zdjęć z Jasnej Polany.



Narodowe święto węgierskie: Pochód dygnitarzy w dniu św. Stefana. Na czele prezydent ministrów Wekerle, za nim minister dworu hr. Zichy.



80 ciolecie wielkiego pisarza: Tołstoj jako cyklista.

Przewrót w Marokku.

Rok właśnie upłynął od chwili, jak w Marrakesz zebrali się ulemowie i dostojnicy państwa marokkańskiego i uchwalili detronizacyę dotychczasowego sułtana Abdul Azisa, a uchwałę swą motywowali jego złą gospodarką, narażającą na niebezpieczeństwo sprawy państwa i islamu. Następnie obwołali sułtanem jego brata, Mulej Hafida, złożyli mu przysięgę wierności i podpisali odnośny dokument a salwy armatnie z Kesbachu w Marrakesz obwieściły poddanym o dokonanym fakcie. Zdetronizowany sułtan nie dał jednak za wygraną i choć brat odbył tryumfalny wjazd do Fezu, nie abdykował, lecz owszem podjął zawziętą walkę o tron. Mocarstwa europejskie nie uznały także nowego sułtana, uważając zawsze Abdul Azisa, podpisanego na traktacie z Algeciras za prawowitego władcę, Francya zaś popierała go ciągle materyalnie i moralnie.

Mulej Hafid, nie mając pieniędzy, tracić począł wziętość, a w ostatnich czasach zaczęła róść, zwłaszcza w nadbrzeżnej części kraju, potęga Abdul Azisa. Poselstwo pretendenta, wysłane do Niemiec i Francyi, nie odniosło pożądanego skutku, a nawet nie zostało przez odnośne mocarstwa przyjęte. Pod Rabat, głównie dzięki poparciu Francyi, trzymał się tymczasem Abdul Azis, a szczęście wojenne zaczęło mu nawet sprzyjać. Łakome na grosz francuski szczepy między Marrokesz i Rabat przyłączyły się doń bez wahania i wszystko już było przygotowane do wjazdu Abdul Azisa do południowej stolicy państwa.



80-ciolecie wielkiego pisarza: Lew Tołstoj na willegiaturze nad Czarnem morzem.

Dnia 12 sierpnia wyruszył sułtan, pełen najlepszych myśli, do Marrakesz, aby południową część kraju przyłączyć na nowo pod swe panowanie, tymczasem właśnie w tej wyprawie poniósł pod Kekka, miejscowości oddalonej od Marrokeszu o 50 kilometrów, sromotną klęskę. Według telegramu generała d'Amade, w czasie walki odznaczył się Abdul Azis wielkiem osobistem męstwem, ale przykład ten nie wystarczył dla zdezorganizowanej i pozbawionej dyscypliny i uzbrojenia jego armii. Inne wieści podają jako przyczynę klęski zdradę mieszkańców Szauji, inne znów nagły i gwałtowny atak sił zbrojnych Hafida pod dowództwem Kaida Ben Kebna, zwłaszcza konnicy, która skorzystała z powolnego i nie ostrożnego marszu wojsk Abdul Azisa. Klęska prawowitego sułtana zupełna, on sam z trudnością umknął z placu boju do Settat, skąd udać się miał do Cassablanki pod opiekę Francuzów.



80-ciolecie wielkiego pisarza: Tołstoj w gronie rodziny.

Aby uniknąć nowych niespodzianek i zawikłań uchwalono obwołać Mulej Hafida natychmiast ponownie sułtanem, spisano odnośny dokument i zawiadomiono o tem zagraniczne poselstwa. Z komunikatów głównie interesowanej w sprawach marokkańskich rządowej prasy francuskiej i hiszpańskiej wynika, iż zmiana tronu w Marokko może się dokonać zupełnie spokojnie, o ile Mulej Hafid podda się postanowieniom konferencyi międzynarodowej w Algeciras. Jeśli by się nie zgodził, kwestya marokkańska może znowu nastręczyć powód do nowych zawikłań i zatargów dyplomatycznych, zwłaszcza że Niemcy nie omieszkają tam wtrącić swojego nosa, choćby tylko zrobić tem na przekór Francyi. Obawiają się też fanatyzmu mu-



Przewrót w Marokku: Pretentend do tronu Mulej Hafid.



Pożar Konstantynopola: Oddział straży pożarnej tureckiej ze swą sikawką, zdążający do pożaru.

zułmańskiego, znajdującego wielką podnietę w nowym układzie rzeczy w Turcyi.

Pożar Konstantynopola.

W ubiegłym tygodniu nawiedził Konstantynopol groźny pożar, którego pastwą padło około trzech tysięcy budynków. Według innych wersyi miało się spalić około sześć tysięcy budynków, a nie



Przewrót w Marokku: Prawy władca Marokka Abdul Azis.

brakło i ofiar w ludziach, gdyż dzielnica spalona zamieszkana jest bardzo licznie, a to głównie przez ludność ubogą. Liczba dotkniętych pożarem osób przenosi 20.000 z czego tylko 2% jest chrześcijan. Wśród ludności pozbawionej dachu, skazanej na ostatnią nędzę i niedostatek, szerzy się paniczny strach, a głos ludu widzi w katastrofie „karę Bożą“ za ostatnie zajścia, obalenie wszechwładzy sułtana, reformy i konstytucyę. Nie brak też zwolenników reakcyi, którzy podsycają te przekonania, kierując wrzenie przeciw Młodoturkom, uważanym za widomą przyczynę gniewu Allaha.

Młodoturcy, szukając przyczyny pożaru, wskazują znów na zwolenników starego porządku, jako sprawców pożaru, pomawiając ich, iż to oni, aby przerazić sułtana, wysłali na miasto podpalaczy; to jedno jest już pewnem, że przyczyną pożaru dzielnicy, który zniszczył mienie tysięcy mieszkańców, było podpalenie równocześnie w kilku miejscach. Akcya ratunkowa prowadzona była niedołężnie, to też niszczący żywioł, przy panującym wietrze, nieporadności władz i znanym fatalizmie Turków, szerzył się z ogromną gwałtownością.

Przeciw komu zwróci się wzburzenie przyprowadzonej do ostatecznej nędzy ludności, obliczyć na razie niepodobna, to jedno jest pewnem, że wielu podpalaczy aresztowano i poddano badaniu, którego wynik nie jest jednak znanym.

Na pierwszą wiadomość o pożarze rozpoczęto w całym kraju zbieranie składek na pogorzelców, sułtan ofiarował 5000 funtów, z większymi datkami pospieszyli także ministrowie i różne instytucye. Także i z zagranicy nadpływają liczne składki, a i cesarz Wilhelm nie pozostał w tyle, ofiarując na rzecz pogorzelców 10.000 marek.

W parę dni po pożarze zjawił się na miejscu katastrofy syn sułtana, ks. Abdul Rachib, który dla zyskaia popularności, w imieniu ojca rozdzielał zapomogi dotkniętym klęską żywiołową ludności.



Narodowe święto węgierskie: Relikwie św. Stefana (prawa ręka) we wspaniałym relikwiarzu.

Kradzieże dzieł sztuki.

Dość często czytamy o kradzieżach dzieł sztuki w galeryach prywatnych i publicznych. W galeryach prywatnych łatwiejsze są do wytłómaczenia, gdyż tu dozór jest zwykle słaby; jeden służący mający pieczę nad zbiorami, zwraca głównie uwagę na wejście, które przynosi mu dochód w postaci datków za złożone laski i parasole, a tymczasem zręczny złodziej może w salach gospodarować bez przeszkody. Nawet i w publicznych galeryach zdarzają się śmiałe kradzieże, jak to w bieżącym roku miało miejsce w Paryżu, Florencyi, Budapeszcie, Dreźnie i Wenecyi.

W poniedziałek, 24. sierpnia b. r. niewyśledzony dotąd sprawca skradł ze sławnej wiedeńskiej galeryi obrazów hr. Harracha obrazek Van Dycka, przedstawiający głowę dziecka. Śmiały amator starożytności za tanie pieniądze, wyciął poprostu obrazek z ram i niespostrzeżony przez nikogo oddalił się spokojnie. Sam obrazek ma 32 cm. szerokości a 46 cm. długości, przedstawia zaś wielką wartość i był prawdziwą ozdobą galeryi Harrachowskiej.

Już następnego dnia prawdopodobnie ten sam sprawca skradł z galeryi ks. Lichtensteina czarną płaskorzeźbę na kości słoniowej, przedstawiającą „Porwanie Prozerpiny“ i także udało mu się ujść bezkarnie.

Z obrazu Van Dycka istnieją liczne reprodukcye, rozesłano je też zaraz na prowincyę i za granicę, aby przestrzedz nabywców przed kupieniem skradzionego obrazu; reprodukcyi z płaskorzeźby niema, ograniczono się więc tylko do dokładnego opisu skradzionego przedmiotu i rozesłano wszystkim handlarzom dzieł sztuki.

* * *

Także Czytelnicy nasi znajdą w dzisiejszym numerze reprodukcyę tego sławnego obrazu Van Dycka, przedstawiającą główkę dziecka.



Pożar Konstantynopola: Akcya ratunkowa tureckiej straży pożarnej.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA.

przez Maurycego Leblanc.

6 (Ciąg dalszy).

— Więc ta korespondencya tajemnicza?

— Sam jeden ją prowadziłem. Potrafię udać wszelkie pismo, jakie chcę.

Ganimard pomyślał chwilę i spytał znowu:

— Jakim sposobem, czyniąc pomiary Baudru, nie spostrzeżono się, że są te same, co Arsena Lupin?

— Niema pomiaru Arsena Lupin.

— Co znowu?

— Lub co najmniej jest fałszywy. Długo studyowałem tę kwestyę. Systemat Bertillona podaje przedewszystkiem rysopis naoczny — a widzisz pan, że nie jest niezawodnym — potem idzie rysopis w pomiarach, więc wymiar głowy, palców, uszów itd. Tu już nic zrobić nie można.

— A zatem?

— Zatem trzeba opłacać. Przed moim powrotem z Ameryki jeden z urzędników przystał na pewną sumę za wystawienie pewnej fałszywej miary zaraz na początku wymierzania. To wystarczyło, aby cały system zboczył z drogi, aby czop wpadł w otwór dyametralnie przeciwstawny temu, w jaki wpaść musiał. Pomiar Baudru nie mógł więc stać się pomiarem Arsena Lupin.

Na chwilę zapadło milczenie, poczem Ganimard zapytał:

— Cóż teraz myślisz pan robić?

— Teraz — zawołał Lupin — przedewszystkiem odpocznę! Poddam się kuracyi forsownego odżywiania się, aby trochę przyjść do siebie. Bardzo to dobrze być Baudru, albo kimś innym, zmieniać swą osobowość jak koszulę, dowolnie wybierać wygląd, głos, wzrok, pismo. Ale przychodzi się wreszcie do tego, że w tem wszystkiem samego siebie rozpoznać trudno i jest z tem bardzo trudno i jest z tem bardzo smutno. Odczuwam obecnie to, co musiał czuć człowiek, który stracił swój cień. Pragnę siebie poszukać... i odnaleźć.

Przechadzał się przed ławką w jedną i drugą stronę. Nieco cienia mieszało się już do jasności dnia. Zatrzymał się wreszcie przed Ganimardem.

— Sądzę, nie mamy sobie więcej nic do powiedzenia?

— Chciałbym tylko jeszcze wiedzieć..—odrzekł inspektor Ganimard — pan nie odkryjesz całej prawdy o swojej ucieczce? Błąd, który popełniłem...

— O, nikt się nigdy nie dowie, że to Arsena Lupin wypuszczono! Zawiele mi zależy na otaczaniu najgłębszą tajemniczą mgłą mojej osobistości, abym przyczynił się do ujęcia tej ucieczce jej charakteru niemal cudowności. Zatem nie obawiaj się niczego poczciwy mój przyjacielu i bądź zdrów. Jem dziś obiad w mieście i zaledwie mam chwilę czasu, aby się ubrać.

— Myślałbym, że przedewszystkiem pragniesz pan spoczynku!

— Niestety! Bywają względy światowe, od których nie sposób się wyłamać. Wypoczynek zacznie się jutro.

— Dokądże pan idziesz na obiad?

— Do ambasady angielskiej.

Tajemniczy podróżny.

W wigilią odesłałem mój automobil końmi do Rouen, a sam miałem tam stanąć koleją żelazną i stamtąd już na automobilu udać się do moich przyjaciół, którzy mieszkali nad brzegiem Sekwany.

Otóż w Paryżu na parę minut przed odejściem pociągu, do mego przedziału wtargnęło siedmiu panów; pięciu z nich paliło. Jakkolwiek krótką miałem drogę, perspektywa przebycia jej w takiem towarzystwie nie była zbyt przyjemną, tembardziej że wagon nasz starego typu nie posiadał kurytarza. Zabrałem więc swoje okrycie, dzienniki, rozkład jazdy i wysunąłem się do jednego z sąsiednich przedziałów.

Znajdowała się tam jakaś pani. Spostrzegłszy mnie drgnęła, widocznie nieprzyjemnie dotknięta, co nie uszło mojej uwagi i wnet pochyliła się do stojącego na stopniu mężczyzny, zapewne męża, który odprowadzał ją na dworzec.

Mąż popatrzył na mnie badawczo; a zapewne badanie wypadło na moją korzyść, bo szepnął do żony słów kilka, uspokajając ją przytem uśmiechem, jak się uspokaja dziecko, które się boi. Ona uśmiechnęła się także, obdarzając mnie przychylnem spojrzeniem, jak gdyby nagle zrozumiała, że jestem jednym z tych poważnych, pełnych galanteryi ludzi, z którymi kobieta na przeciąg dwóch godzin może się zamknąć bez obawy w małem, na sześć stóp, drewnianem pudełku.

Mąż przemówił:

— Nie gniewaj się moja droga, ale mam bardzo pilny interes; nie mogę czekać.

Uścisnął ją serdecznie i odszedł. Żona przesyłała mu przez okno ukradkowe pocałunki i powiewała chusteczką. Ale rozległ się gwizd i pociąg ruszył.

Nagle właśnie w tej samej chwili mimo energicznego oporu konduktora drzwi się otwarły i jakiś człowiek wtłoczył się do naszego przedziału. Moja towarzyszka podróży, która właśnie układała na siatce swoje rzeczy, przestraszona krzyknęła i osunęła się na kanapkę.

Nie jestem tchórzem — o, wcale — wyznam jednak, że te wpadania w ostatniej chwili są zawsze przykre. Wydają się jakoś dwuznaczne, nienaturalne. Coś tam jest widocznie, co zmusza...

Jednak wygląd nowoprzybyłego i całe jego zachowanie się zacierały w zupełności nieprzychylne wrażenia, wywołane najściem. Poprawność, elegancya nawet, krawat w dobrym guście, rękawiczki czyste, twarz energiczna... Ale do dyabła, gdzie mogłem widzieć tę twarz? Bo bez żadnej wątpliwości widziałem już ją kiedyś, a raczej odnajdywałem w pamięci rodzaj niby portretu, kilkakrotnie spotykanego, którego jednak oryginału nie znałem dotąd.

Jednocześnie wszakże czułem całą nieużyteczność tych wysiłków pamięci, ponieważ wspomnienie to było bardzo niestałem i niewyraźnem. Ale kiedy zwróciłem uwagę na moją towarzyszkę, zdumiałem się poprostu jej bladością i wzburzeniem. Spoglądała na swego sąsiada — siedzieli na jednej kanapce — z wyrazem najwyższej trwogi i zauważyłem wkrótce, że ręka jej drżąc posuwała się nieznacznie w kierunku małej torebki podróżnej, leżącej na kanapce o jakie dwadzieścia centymetrów od jej kolan. Dosięgła jej wreszcie i nerwowo przyciągnęła ku sobie.

Spojrzenia nasze zbiegły się; wyczytałem w jej oczach tyle niepokoju i męki, że nie mogłem się wstrzymać, aby nie wykrzyknąć:

— Czuje się pani niedobrze?... Czy mam otworzyć okno?

Nie odpowiadając, trwożliwym gestem wskazała mi tylko nowoprzybyłego. Uśmiechnąłem się, jak przed niedawną chwilą uśmiechał się jej mąż, wzruszyłem ramionami i znakami starałem się jej wytłomaczyć, że niema czego się obawiać, że w każdym razie ja tu jestem, że wreszcie pan ten nie wydaje się tak bardzo strasznym.

On nagle zwrócił się ku nam, obejrzał nas od stóp do głowy, poczem zasunął się w kąt i już nie poruszał się.

Nastała chwila milczenia; wreszcie pani, jak gdyby zdobywając się z całą energią na czyn desperacki, szepnęła do mnie głosem ledwie zrozumiałym:

— Pan wie, że on jedzie tym samym pociągiem?

— Kto taki?

— Ależ on... on... upewniam pana.

— Jaki on?

— Arsen Lupin.

Nie odwracała oczu od podróżnego i można powiedzieć, że raczej do niego, niż do mnie zwróciła zgłoski tego niepokojącego imienia.

On spuścił na nos kapelusz. Czy po to, aby pokryć zmieszanie, czy poprostu przygotowywał się do snu?

Próbowałem zaprzeczyć.

— Arsen Lupin został wczoraj zasądzony zaocznie na dwadzieścia lat ciężkich robót. Mało jest prawdopodobnem, aby popełnił nieostrożność pokazywania się dzisiaj publicznie. Zresztą alboż dzienniki nie dowiodły jego obecności w Turcyi przez całą zimę od czasu słynnej ucieczki z La Santé?

— Znajduje się w tym pociągu — powtórzyła pani z wyraźną intencyą, by była słyszaną przez naszego towarzysza — mój mąż jest zastępcą dyrektora w zakładach karnych i mówił mu sam naczelnik stacyi, że poszukują Arsena Lupin.

— Nie jest to wszakże dowodem...

— Widziano go w sali sądowej. Kupił bilet pierwszej klasy do Rouen.

— Łatwo było go schwytać.

— Zniknął. Kontrolor wszedłszy do poczekalni już go tam nie zastał; przypuszczają, że prawdopodobnie przeszedł przez szyny i wsiadł do ekspresu, który w dziesięć minut po nas odchodzi z dworca.

— W takim razie złowionoby go...

— A jeśli w ostatniej chwili, jak to jest prawdopodobne... jak to jest pewne, wskoczył do naszego pociągu?

— W takim razie tu go schwytają. I urzędnicy i agenci zapewne widzieli tę wędrówkę z jednego pociągu do drugiego; skoro tylko przybędziemy do Rouen, nakryją go bardzo zręcznie.

— Jego? nigdy! Znajdzie sposób wymknięcia się im.

— W takim razie życzę mu szczęśliwej drogi.

— Ale tymczasem zrobi, co zechce.

— Co naprzykład?

— Czyż ja wiem? Można oczekiwać wszystkiego.

Była bardzo wzburzoną; i w istocie okoliczności do pewnego stopnia usprawiedliwiały to podniecenie nerwowe. Prawie mimowoli powiedziałem jej:

— Rzeczywiście ciekawy zbieg okoliczności... Ale niech się pani uspokoi; przypuśćmy nawet, że Arsen Lupin znajduje się w którymś z tych wagonów, w każdym razie możemy być pewni, że zachowa się roztropnie i zamiast narażać się na nowe przykrości, będzie tylko starał się wykręcić z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Słowa moje nie uspokoiły jej wcale. Zamilkła wszakże, bojąc się zapewne być niedyskretną. Ja tymczasem otwarłem dzienniki i zacząłem czytać sprawozdania z procesu Arsena Lupin. Ale ponieważ nie zawierały w sobie nic takiego, coby już znanem nie było, nie mogły mnie bardzo zajmować. Zresztą byłem zmęczony — spałem źle tej nocy — powieki moje stawały się ciężkie i głowa pochylała się mimowoli.

— Panie, przecież pan chyba nie zaśnie!

Nieznajoma wyrwała mi z rąk dzienniki i spojrzała na mnie z oburzeniem.

— Oczywiście nie—odpowiedziałem — niemam ku temu najmniejszej chęci.

— Byłaby to najwyższa nieroztropność — zawołała.

— Najwyższa — potwierdziłem.

I walczyłem energicznie czepiając się krajobrazów, chmur przesuwających się po niebie. I wkrótce wszystko to zmieszało się razem; obraz zaniepokojonej damy i uśpionego jegomościa zatarły się w moim umyśle; nastała we mnie wielka, głęboka cisza snu.

Marzenia senne, zrazu niewyraźne i lekkie, wkrótce się zapełniły; istota, która grała pewną rolę, a nosiła miano Arsena Lupin, zajmowała w nich niepoślednie miejsce. Z workiem na plecach, napełnionym kosztownościami, pokazywał się na horyzoncie, przesadzał mury, ograbiał zamki...

Wkrótce wszakże sylwetka drugiej istoty, która wcale nie była Arsenem Lupin, zaczęła zarysowywać się wyraźnie; zbliżyła się ku mnie, rosła coraz większa, skakała po wagonie z niemożebną ruchliwością i nagle cała padła mi na piersi.

Ostry ból... krzyk rozdzierający... ocknąłem się. Nieznajomy ów podróżny kolanem przyciskał mi pierś i ściskał za gardło.

Widziałem go jak przez mgłę, bo krew zalewała mi oczy. Widziałem również panią, która w ataku nerwowym rzucała się w rogu wagonu. Nie próbowałem nawet się bronić; zresztą nie miałem na to sił; dusiłem się.. Chwila jeszcze i nastałaby agonia.

Tamten musiał to odczuć; zwolnił ręki. Nie wypuszczając mnie wszakże, prawą ręką wyciągnął sznur, na którym pierwej już zawiązał pętlę i szybkim, ostrym ruchem związał mi ręce. Za chwilę byłem skrępowany z zakneblowanemi ustami, unieruchomiony.

Wykonał to wszystko najnaturalniej w świecie, z łatwością wyćwiczonego w swej sztuce mistrza, zawodowego złodzieja i zbrodniarza. Ani jednego słowa, ani jednego ruchu gorączkowego. Śmiałość i zimna krew. I leżałem tu na kanapce spowity jak mumia ja, Arsen Lupin!

Naprawdę było z czego się śmiać. I pomimo bardzo poważnej sytuacyi nie mogłem nie podchwycić wszystkiego, co było w niej ironicznego i — wybornego. Arsen Lupin pojmany jak nowicyusz! ograbiony jak każdy pierwszy lepszy — bo zbój, naturalnie uwolnił mnie od mego pugilaresu i teki. Arsen Lupin ofiara napaści, napadnięty, zwyciężony... Niebywała awantura!

Lecz pozostawała jeszcze pani. Zbój nie zwrócił nawet na nią uwagi. Zadowolnił się podjęciem z dywana sakiewki i wypróżnieniem jej zawartości, drobnej monety, srebrnych i złotych drobiaz-

gów, biżuteryi. Pani otwarła jedno oko, zadrżała z przerażenia, zdjęła pierścionki i podała złodziejowi, jak gdyby chciała mu oszczędzić wszelkiej zbytecznej fatygi. Przyjął pierścionki i spojrzał na nią: zemdlała.

Następnie zawsze spokojny i cichy nie zwracając już na nas uwagi, usiadł na swojem miejscu, zapalił papierosa i pogrążył się w głębokie studya nad zdobytymi skarbami; badanie widocznie zadowoliło go zupełnie.

Co do mnie byłem o wiele mniej zadowolony. Nie mówię o tych dwunastu tysiącach franków, z których mnie ograbiono niesłusznie: była to strata chwilowa i wiedziałem, że w niedługim czasie przejdzie do mojej kieszeni, również jak nader ważne papiery, znajdujące się w mojej tece: plany, kosztorysy, adresy, spis korespondentów, listy kompromitujące itp. — w tej chwili zajmowało mnie o wiele poważniejsze, o wiele bliższe pytanie:

Co teraz będzie?

Jak łatwo odgadnąć, nie uszło mojej uwagi pewne zamieszanie, spowodowane przejściem mojem przez dworzec w Saint-Lazare. Zaproszony przez przyjaciół, których odwiedzałem często pod imieniem Wilhelma Berlat i dla których podobieństwo moje z Arsenem Lupin było zawsze przedmiotem żartów, nie mogłem zmienić mojej powierzchowności, więc obecność moją zaraz zauważono. Pozatem spostrzeżono jakiegoś człowieka, naturalnie Arsena Lupin, który wskakiwał do pospiesznego pociągu, ruszającego już z miejsca. Prawdopodobnie zatem i najfatalniej dla mnie komisarz policyjny w Rouen zawiadomiony telegraficznie, a otoczony bezwątpienia poważną liczbą agentów, będzie już oczekiwał na przybycie naszego pociągu, podda badaniu wszystkich podejrzanych podróżnych i zarządzi najstaranniejszy przegląd wszystkich wagonów.

Wszystko to przewidywałem; nie czułem się jednak zbytnio tem wzruszony; byłem pewny, że policya w Rouen nie będzie przezorniejszą od paryskiej i potrafiłbym z łatwością przejść niespostrzeżony — czyż nie dość byłoby podać niedbale moją kartę deputowanego, która już w Saint-Lazare taką ufnością napełniła kontrolora? Ale teraz jakaż zmiana! Przedewszystkiem nie byłem swobodny. Nie mogę zastosować żadnego z mych zwykłych sposobów. W jednym z wagonów komisarz policyjny odkryje imć pana Arsena Lupin, szczęśliwym wypadkiem już ze skrępowanemi rękami i nogami, posłusznego jak jagnię, spakowanego, gotowego zupełnie. Trzeba tylko jeszcze otrzymać kartę pobrania jak na przesyłkę pocztową, zaadresowaną na pewną pocztę: paczka ze zwierzyną, albo koszyk jarzyn, czy owoców.

I cóż mogłem począć przeciw temu wszystkiemu, nieruchomy, spowity więzami?

A pociąg pospieszny pędził do Rouen, jedynej i bliskiej już stacyi — przeleciał Vernon, Saint-Pierre.

Inna jeszcze kwestya zajmowała mnie żywo; nie dotyczyła mnie wprawdzie bezpośrednio, ale wzbudzała moją ciekawość jako fachowca. Jakie były zamiary nieznajomego?

Ja bezwątpienia wysiądę w Rouen w najzupełniejszym spokoju, ale pani? Zaledwo otworzą się drzwiczki wagonu, czyż osoba ta, tak rozsądna i pokorna obecnie, nie zacznie krzyczeć, rzucać się, przyzywać na ratunek?

I stąd to moje zadziwienie. Dlaczego nie obezwładnił jej tak samo jak i mnie? Dałoby mu to możność zniknięcia zanim spostrzeżonoby jeszcze podwójne jego przestępstwo.

Spokojnie palił papierosa z oczyma utkwionemi w okno, kędy deszcz niewielki jeszcze zaczynał przerzynać mglistą przestrzeń wielkiemi, skośnemi liniami.

Pani starała się leżeć zemdlona, bez ruchu. Ale lekki kaszelek, spowodowany dymem papierosa, zdradził daremne jej usiłowania.

Co do mnie czułem się bardzo niewygodnie, bardzo zmęczony. I rozmyślałem... kombinowałem...

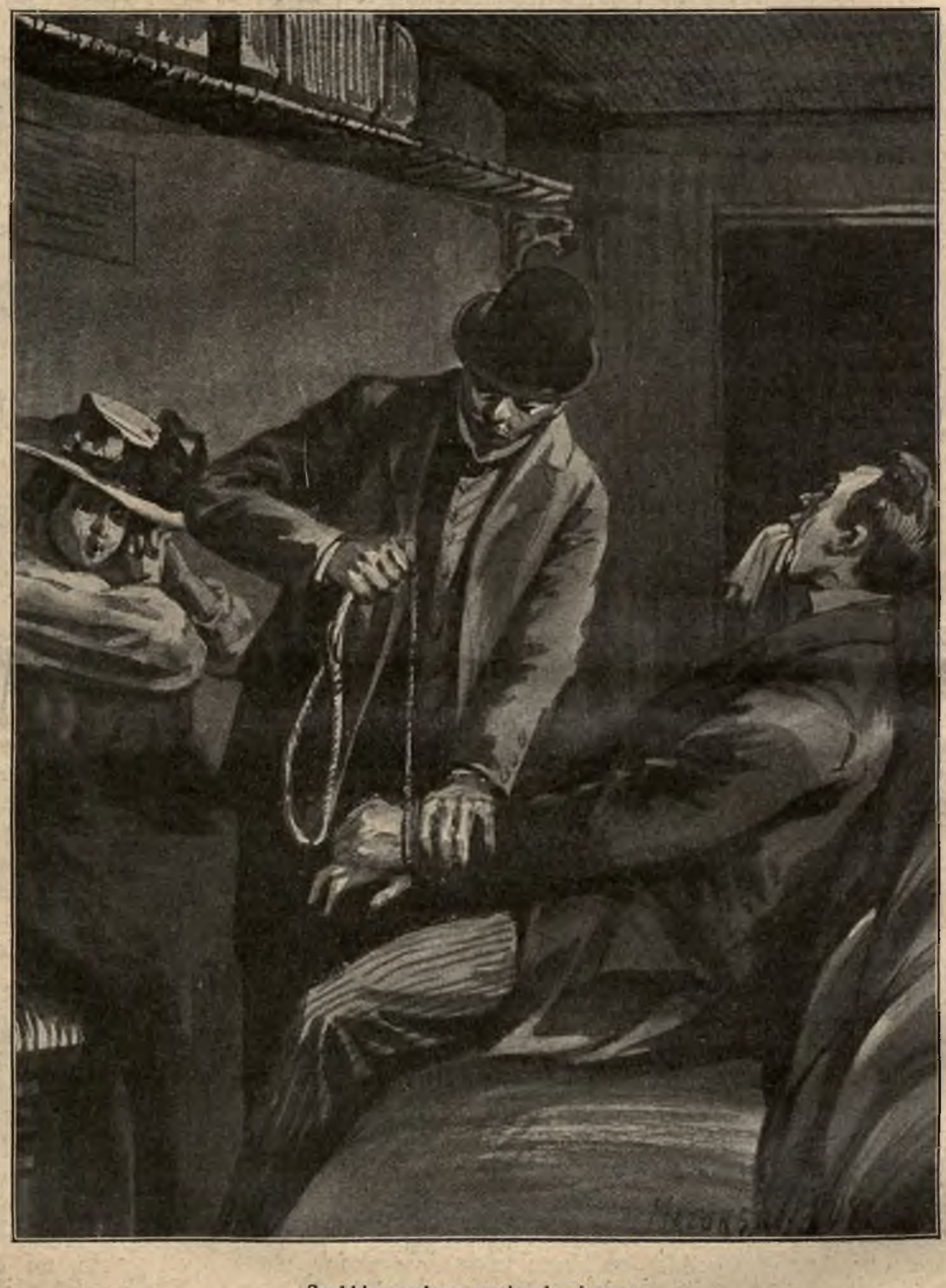
Pont de l'Arche, Oissel... Kuryer pędził wesoły, upojony szybkością.

Saint-Etienne... Tu zbir podniósł się i zbliżył się do nas. Pani krzyknęła i zemdlała znowu, tym razem już naprawdę.

Lecz cóż tamten zamyślał? Spuścił szybę znajdującego się obok nas okna. Deszcz bił teraz z wściekłością; podróżny uczynił gest niezadowolenia, widocznie z powodu braku okrycia lub parasola. Rzucił okiem na siatkę: leżała tam parasolka podróżnej pani. Wziął ją; wziął także moją okrywkę i ubrał się w nią.

Przebywaliśmy właśnie most na Sekwanie. Zagiął brzegi swych spodni; poczem wychylił się, otworzył zasuwę z zewnątrz.

Czy chce wyskoczyć z pociągu? Przy tej szybkości śmierć nieunikniona. Wjechaliśmy do tunelu, przebijającego wzgórze Saint Cathérine. Zbir otworzył drzwiczki wagonu, nogą poszukał stopnia. Co za szaleństwo! Ciemność, dym, huk pociągu



Szybkim ruchem zawiązał mi ręce...

nadawały jego zamiarom pozory fantastyczności. Nagle pociąg począł zwalniać. Hamulce oparły się rozpędowi kół. Za chwilę bieg stał się normalnym, zwolnił się jeszcze. Bezwątpienia dokonywały się tu na drodze, w tej części tunelu roboty melioracyjne, pociągi zatem zwalniały biegu, może już od dni kilku, i człowiek ten musiał o tem wiedzieć.

Powoli postawił drugą nogę na stopień, zstąpił na stopień następny i oddalił się najspokojniej, nie zapomniawszy wprzód zamknąć drzwiczki za sobą i spuścić zatrzask.

Zaledwo zniknął mi z oczu światło dnia zaczęło wybielać kłęby dymu. Wypadliśmy na dolinę. Jeszcze jeden tunel i stanęliśmy na stacyi w Rouen.

Nieznajoma natychmiast odzyskała zmysły i przedewszystkiem zaczęła rozpaczać nad stratą swoich klejnotów. Błagałem ją oczyma. Zrozumiała i uwolniła od knebla, który mnie dusił. Chciała także oswobodzić z więzów, ale oparłem się temu.

— Nie, nie! trzeba aby policya zobaczyła jak rzeczy stoją. Niech zbuduje się dziełem tego łotra...

— A gdybym tak targnęła za dzwonek sygnałowy?

— Zapóźno; trzeba było o tem pomyśleć, jak tamten mnie dusił.

— Ależ zabiłby mnie! Ach panie, czy nie mówiłam, że jedzie tym samym pociągiem! Poznałam go natychmiast z fotografii. I ulotnił się z moimi klejnotami!

— Znajdą go, niema obawy.

— Znajdą Arsena Lupin? Nigdy!

— To zależy od pani. Proszę posłuchać. Jak tylko przejedziemy proszę stanąć we drzwiach, wołać, krzyczeć, robić hałas. Urzędnicy i agenci przylecą natychmiast. W paru słowach opowiesz pani co zaszło, napad, którego stałem się ofiarą, ucieczka Arsena Lupin. Dasz pani przytem wskazówki: kapelusz miękki, parasol — własność pani; okrycie szare, wcięte...

— Własność pana — wtrąciła.

— Jakto moja? Ależ nie, jego. Ja nie miałem okrycia.

— Zdawało mi się, że niemiał go na sobie, gdy tu wchodził.

— To może wziął czyjeś, zapomniane w siatce. W każdym razie miał je na sobie kiedy wychodził, a to najgłówniejsze. Szare okrycie, do stanu wcięte... proszę zapamiętać. Ach, zapomniałem! Przedewszystkiem powiesz im pani swoje nazwisko. Urząd męża pani podwoi gorliwość wszystkich tych panów.

Przybywaliśmy na stacyę. Pani stała już przy drzwiczkach. Głosem silnym, prawie nakazującym, mówiłem jej tak wyraźnie, że każde słowo musiało wbić się jej w mózg.

— Powie pani także moje nazwisko: Wilhelm Berlat. W razie potrzeby, proszę mówić, że pani mnie zna... Tym sposobem zyskamy na czasie... trzeba aby naprzód zarządzono śledztwo przedwstępne... najgłówniejsza złowić Lupina... przecież klejnoty pani... Nie pomyli się pani? Wilhelm Berlat, dobry znajomy pani męża.

— Rozumiem... Wilhelm Berlat.

Już wołała przyzywając gestami. Pociąg nie stanął jeszcze, kiedy już na stopnie wskoczył jakiś pan, za nim kilku ludzi. Chwila stanowcza nadeszła.

Zdyszana pani wykrzyknęła:

— Arsen Lupin... napadł... skradł moje klejnoty... Jestem pani Renaud... mój mąż jest wicedyrektorem zakładów karnych... Ach! patrzcie! Toż to mój brat, Jerzy Ardelles, dyrektor banku kredytowego w Rouen.. panowie pewno o tem wiedzą...

Uściskała młodego człowieka, który wszedł do przedziału i którego komisarz także powitał. Poczem mówiła prawie z płaczem:

— Tak, Arsen Lupin... rzucił się na pana, gdy spał... pan Berlat, przyjaciel mego męża.

Komisarz spytał:

— Ale gdzież jest Arsen Lupin?

— W tunelu, już za Sekwaną, wyskoczył z pociągu.

— Jesteś pani pewną, że to był on?

— Czy jestem pewną! Doskonale go poznałam. Zresztą widzieli go wszyscy na stacyi Saint-Lazare. Miał miękki kapelusz...

— Nie, twardy kapelusz, jak ten oto — zaprzeczył komisarz, wskazując na mój właśnie kapelusz.

— Miękki kapelusz, napewno — powtarza pani Renaud — i szare, wcięte do stanu okrycie.

— Rzeczywiście — mruczy komisarz — w telegramie jest to szare okrycie do stanu z czarnym aksamitnym kołnierzem.

— Tak, tak! z czarnym aksamitnym kołnierzem! — tryumfująco wykrzykuje pani Renaud.

Oddycham. Ach moja dzielna, doskonała przyjaciółko!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Międzynarodowy zjazd techników wiertniczych.

Galicyjski przemysł naftowy rozwinął się już potężnie, nic też dziwnego że międzynarodowy zjazd techników wiertniczych obrał sobie Lwów, jako miejsce swego tegorocznego zebrania.

W dniu 30 sierpnia rozpoczęły się obrady zjazdu, a bierze w nich udział około ośmdziesięciu uczestników z różnych stron świata. Przybyli między innymi przedstawiciele przemysłu naftowego z Sosnówca, Wiednia, Baku, Leoben, Frankfurtu, Katowic, Monachium, Bukaresztu, Berlina i Sztokholmu. Obrady zagaił przewodniczący zjazdu, profesor Syroczyński, przypominając zebranym, że podobny zjazd odbył się we Lwowie przed laty czternastu pod przewodnictwem nieodżałowanego śp. Szczepanowskiego. Następnie przeszedłszy pokrótce dzieje rozwoju nafciarstwa, wspomniał o zasłużonych pracownikach na tej niwie, których śmierć zabrała. Uczestnicy zjazdu oddali przez powstanie cześć ich pamięci. Imieniem miasta powitał zebranych prez. Ciuchciński, życząc pomyślnego wyniku obrad, imieniem zaś miejscowych kół, zainteresowanych w przemyśle naftowym, p. Wacław Wolski.

Na wiceprezesów zjazdu powołano prof. Waltla z Leoben i inż. Wacława Wolskiego, na sekretarzy dr. Bartoszewicza ze Lwowa, Porna z Bukaresztu i Hendrycha. Po krótkich przemówieniach starosty górniczego, rektora politechniki ze Lwowa i kilku innych nastąpiły naukowe referaty. P. Stanisław Liebert podał szczegóły ze swego pobytu i praktyki wiertniczej w Indyach wschodnich, inż. Szczepanowski mówił wyczerpująco o pożarze w Tustanowicach, przedstawiając szereg ogólnych poglądów na tę katastrofę, oraz środki zapobiegawcze i akcyę ratunkową. Inż. Mączyński wygłosił prelekcyę na temat stosunków geologicznych galicyjskich terenów naftowych, Wolski omawiał nową pompę do ropy, Dzbański z Wiednia zaznajomił słuchaczy z sposobem patentowania wynalazków.

Popołudniu zwiedzili uczestnicy miasto, wieczór odbył się w hotelu Żorża wspólny obiad. W poniedziałek odbyło się ogólne walne zgromadzenie inżynierów wiertniczych, a równocześnie także polskiego związku tychże. Omawiano kwestyę rozdawnictwa medalów za zasługi w zawodzie nafciarskim położone. Po walnem zgromadzeniu wygłosił inżynier Łukaszewski bardzo zajmujący odczyt w sprawie zabezpieczenia od pożaru zbiorników ziemnych i żelaznych oraz wież wiertniczych. O galicyjskim sposobie wiercenia mówił p. Brugger.

Dla szerszej publiczności są obrady zjazdu bez



Kradzieże dzieł sztuki: »Głowa dziecka«, obraz Van Dycka. (Do artykułu na str. 10).

większego interesu, gdyż są niezrozumiałe dla laików, dla zawodowych nafciarzy mają jednak bezsprzecznie doniosłe znaczenie, zapoznając ich z najnowszemi zdobyczami w dziedzinie wiertnictwa. Następny zjazd odbędzie się w Niemczech w Halli, a prezesem jego obrano p. Lappa, wiceprezesem zaś prof. Syroczyńskiego i Zähringera. Za zasługi na polu nafciarstwa położone zamianowano członkami honorowymi związku inżyniera Wolskiego ze Lwowa i Konstantyna Alimanestianu z Bukaresztu.

Po walnem zgromadzeniu Związku techników wiertniczych odbyły się w dalszym ciągu posiedzenia naukowe. P. A. Kleber wygłosił zajmujący referat: „O połączeniach gwintowych przy narzędziach wiertniczych“, inżynier zaś Wolski przedstawił model żurawia wiertniczego własnego pomysłu.

Popołudniu zwiedzili uczestnicy zjazdu muzeum przemysłowe i miejską galeryę obrazów, następnie udali się do muzeum Dzieduszyckich i na politechnikę. Po obejrzeniu muzeum geologicznego i mineralogicznego, które wiele zainteresowania obudziły w zwiedzających, udano się do gabinetu profesora Syroczyńskiego, gdzie pp. Feigenbaum i Bard okazali nowy sposób opalania mieszkań ropą. Sposob ten polega na tem, że skrzynkę z ropą naftową, wynalazku obu wspomnianych panów, wkłada się do zwykłego pieca. Nie potrzeba przytem żadnych rekonstrukcyi pieca, nie jest więc nikt narażony na koszta. Gdyby projekt ten znalazł praktyczne zastosowanie w naszych domach, producenci ropy znaleźliby nowy rynek zbytu dla swego produktu, który z powodu obecnej wielkiej obfitości tak spadł w cenie, że prawie się eksploatacya nie opłaca.

Próba wypadła zupełnie dobrze, jest więc nadzieja, że nowy sposób przyjmie się rychło w Galicyi, co wobec szalonej drożyzny materyałów opałowych, byłoby dla naszych gospodyń prawdziwem dobrodziejstwem.

Przed gmachem politechniki dokonano fotograficznego zdjęcia uczestników zjazdu, a wieczorem byli goście na przedstawieniu w teatrze.

We wtorek o godzinie 7·30 wyjechali zjazdowcy do Borysławia i Tustanowic, aby na miejscu przekonać się o postępach techniki wiertniczej.

Wycieczka ta, która obcych inżynierów i techników wiertniczych mogła najlepiej przekonać o wspaniałym rozwoju przemysłu naftowego w Galicyi, była zakończeniem zjazdu.

W numerze dzisiejszy *Nowości Illustrowanych* zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające grupę uczestników zjazdu, zebranych w sali tow. politechnicznego we Lwowie.



Międzynarodowy zjazd techników wiertniczych: Grupa uczestników zjazdu.

Z TYGODNIA

(Jak Polacy kiwają palcem w bucie, a jak Czesi Niemców biją. — Poseł czeski a minister. — Pokora naszych posłów. — Impresye o studentach. — Szukanie stancyi. — Przygody ojca).

Umiemy przedziwnie kiwać palcem w bucie. Głosimy co najmniej od ćwierć wieku bojkot towarów pruskich i kupujemy je ciągle. Gdyby ktoś, posiadający zupełne zaufanie kupców naszych, zapytał ich o skutek bojkotu, otrzymałby niemą, ale wymowną odpowiedź pod postacią ruszania ramionami. Możnaby o tem napisać tragikomedyę p. t.: „Niedajmy się!“ Podobnie zachowujemy się wobec Niemców w Austryi. Wołamy nieustannie: „Wspierajcie przemysł krajowy!“ — i przy każdej sposobności sprzeniewierzamy się temu hasłu. Wszak całe rodziny wyjeżdżają do Wiednia, ażeby się tam zaopatrzeć w odzież, a każdej chwili podejmuję się z pamięci, bez namysłu wyliczyć 20, wyraźnie dwadzieścia takich patryotycznych familijek.

Gdy pewnego razu głowie takiej patryotycznej familiji dowodziłem, że skutkiem kosztów podróży nabywa droższe towary, otrzymałem lakoniczną odpowiedź: „Ale za to zwiedzamy Wiedeń“. A najstarsza córka dodała drugi motyw, że prenumeruje *Wiener Mode*, więc trzyma się Wiednia. Podziwiamy wystawę Schwarca, a jedziemy do Wiednia po drogą... tandetę. Do tych spostrzeżeń moich dodał jeden ze znajomych mi osobiście kupców następującą uwagę:

— Stary zwyczaj krakowski. Gotówkę wiezie się do Wiednia, na kredyt kupuje się w Krakowie, naturalnie na kredyt długoterminowy, a często bezterminowy. Rachunek, przysłany dla zasady i porządku na Nowy Rok, staje się kamieniem obrazy i wywołuje protest, wyrażony słowami: „Otóż właśnie nie zapłacę“.

Zupełnie inaczej postępują Czesi. Frazesu: „kiwać palcem w bucie“ wcale nie znają. Hasło: „Swój ku swemu“ wykonywują stale, z nieubłaganą konsekwencyą, a gdy muszą iść do obcego, to wtedy nawet oglądają się na korzyść narodową. I teraz właśnie mamy klasyczny przykład czeskiej konsekwencyi, która wśród Niemców austryackich wywołała oburzenie, podszyte przestrachem. Gmina miasta Pragi z przedmieściami buduje wodociąg, do którego potrzeba rur żelaznych za przeszło 3 miliony koron. Po rozpisaniu licytacyi zgłosiły swoje oferty rozmaite firmy austryackie, węgierskie i francuskie. Austryackie huty i fabryki żelaza, jak wiadomo, tworzą kartel i gnębią wszelką pozakartelową inicyatywę, jak to było z fabryką gwoździ w Podgórzu. W dodatku skartelowane fabryki i huty, wyłącznie prawie niemieckie, uprawiają na Morawach i Śląsku politykę hakatystyczną, germanizując przemocą czeskich i polskich robotników.

O dostawę rur wodociągowych ubiegały się fabryki żelazne w Witkowicach, należące do kartelu i ze szczególną zaciekłością szerzące germanizacyę. Czesi odpowiedzieli niemieckim fabrykom: „Dobrze, ponieważ nie posiadamy własnych fabryk, więc damy wam nasze miliony, ale wzamian żądamy, ażebyście zaprzestali dalszej polityki germanizacyjnej, na co dacie nam realną rękojmię“. Niemcy pragnęli wywinąć się sianem, ale Czesi, to nie my — nie poszli na lep pięknych obietnic. Sprawa ciągnęła się dosyć długo, aż wreszcie Czesi oddali dostawę rur dla wodociągu w Pradze francuskiej firmie w Pont-à-Mousson, mimo że oferta francuskiej firmy była droższa o 300.000 k. od oferty fabryk witkowickich. Niemcy podnieśli straszliwy alarm, odgrażają się na wszelkie sposoby, ale Czechów to wcale nie wzrusza. Dali Niemcom naukę, która z pewnością nie pójdzie w las, gdyż skrupi się na ich kieszeni.

A jeszcze drugi przykład. W mieście czeskiem Budziejowicach powstać ma fabryka śrub kapitałami czeskimi. Poseł Brdlik zażądał od kartelu fabryk żelaza rozmaitych ulg dla owej fabryki w dostawie surowego materyału. Dyrektor kartelu Kestranek odmówił, a wtedy poseł Brdlik udał się do ministra handlu dra Fiedlera i zażądał, ażeby minister wpływem swoim skłonił Kestranka do ustępstw. Minister polecił szefowi sekcyi Roesslerowi, ażeby wpłynął na Kestranka po myśli żądań posła Brdlika. Wprawdzie Kestranek nie ustąpił, ale to wcale nie zmienia faktu, jak posłowie czescy umieją obrabiać ministrów i jak ci ministrowie skwapliwie spełniają ich życzenia, nawet niezbyt lojalne.

Przenieśmy tę sprawę na nasz grunt. Przedewszystkiem bardzo wątpię, ażeby u nas znalazł się poseł, któryby chciał podjąć się podobnego pośrednictwa u ministra. Nie z powodu zbyt ścisłego pojmowania obowiązków poselskich, nie z powodu skrupułów co do lojalności takiego pośrednictwa, ale dla braku energii, poprostu ze strachu przed ministrem. Jak to — wywierać wpływ na ministra albo nawet grozić ekscelencyi? Nasi posłowie umieją tylko prosić i wydeptywać podłogę w pokojach ministeryalnych, zwłaszcza gdy chodzi o protekcyę dla... kuzyna, albo gdy przed zbliżającymi się wyborami trzeba coś wykołatać dla swojego okręgu wyborczego, a zwłaszcza dla wpływowych wyborców. Ale żądać—ale grozić? Chryste Panie!

A dalej przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że ministrowie lekceważą naszych posłów. Minister dr. Fiedler odpowiedziałby posłowi polskiemu, stojącemu na miejscu posła Brdlika, że nie może wywierać presyi na kartel w sprawie prywatnej. I w zasadzie miałby słuszność. Ale często zasada musi ustąpić wobec oportunizmu. Minister Fiedler wiedząc, że Czesi nie uprawiają polityki w rękawiczkach, wysłał do Kestranka z pośrednictwem szefa sekcyi Roesslera, który mimo patryotyzmu niemieckiego używał swego wpływu na rzecz fabryki czeskiej. W polityce zawodzi przysłowie, jakoby pokorne cielę dwie krowy ssało.

Skoro już mowa o posłach naszych, to wspomnieć muszę o sprawie urzędników sądowych zachodniej Galicyi, a zwłaszcza sekretarzy sądowych, którzy w awansie są tak bezprzykładnie krzywdzeni. Krakowska grupa Związku sędziów austryackich zajęła się tą sprawą i pomiędzy innymi środkami, mającymi na celu usunąć owe krzywdy, użyła także deputacyi sędziów do Koła polskiego w Wiedniu. Posłowie przyrzekli deputacyi zupełne poparcie ze swojej strony, oprowadzali ją po biurach ministeryalnych, a gdy przyszło do wniesienia przyrzeczonej interpelacyi, nagle wszyscy umyli ręce.

Wyręczył ich poseł polski z poza Koła, a mianowicie dr. Gross, który po biurach ministeryalnych nie spacerował, tylko wniósł w sprawie zachodnio galicyjskich sędziów interpelacyę, na której podpisy potrzebne położyli... socyaliści. Albowiem Koło polskie nie chciało robić przykrości ministrowi, ekscelencyi, z powodu kilkudziesięciu urzędników sądowych. Zresztą do wyborów daleko.

Dosyć polityki. Pomówmy trochę o szkole. Kraków roi się studentami, a dzienniki piszą na tem tle „impresye“, powtarzające się każdego roku. Impresyę łatwo napisać rutynowanemu dziennikarzowi, ale trudniej rodzicom wysłać do szkoły dzieci, zwłaszcza rodzicom niezasobnym, a mieszkającym zdala od siedziby szkół. Najważniejszą i najtrudniejszą jest sprawa „stancyi“. Ojciec zbiera informacye ustne i pisemne, czyta ogłoszenia w dziennikach i wreszcie przyjeżdża do Krakowa, ażeby dla syna wynaleść odpowiednią „stancyę“.

Kancelista, mający pięcioro dzieci i trzy pokoiki w oficynie, pragnie wziąć na mieszkanie dla kompletu pięciu studentów, zapewniając im „opiekę, wikt hygieniczny i pomoc w naukach“. Ojciec idzie do pana kancelisty.

Na wstępie widzi starszego pana, który łataruje skórę wyrostkowi w mundurku gimnazyalnym. Na widok gościa starszy pan, to jest kancelista, puszcza wyrostka, który uciekając wpada we drzwiach gościowi głową w okolicę zegarka i wybiegłszy do sieni woła: „Trzymaj się ojciec ciepło“. Zziajany kancelista prowadzi gościa do pokoju, sadza na sofie, najeżonej sprężynami, wyłażącemi z podziurawionego pokrycia, i powiada, celem wyjaśnienia sceny łatarowania skóry wyrostka w mundurku:

— Bo to widzi pan dobrodziej, musiałem sprawić łaźnię mojemu synowi, który uciekł z domu i wrócił dopiero po trzech dniach, przyprowadzony przez policyanta. Ale mu dałem naukę. Bo to u mnie dzieci mają opiekę.

Ojcu nie bardzo imponowała owa opieka, ale że miał syna bardzo spokojnego, za to jednakże jeszcze więcej ograniczonego, więc zapytał o pomoc w naukach.

— A to jak dobrodziej chce. Wedle stawu grobla, to jest przepraszam, wedle grobli staw, czy jak tam zresztą. Chce dobrodziej, może na lekcye przychodzić sam profesor z gimnazyum, ale bardzo droga rzecz. Można wziąć filozofa, albo także zdolniejszego studenta. Do woli pana dobrodzieja.

Ojciec spogląda ze zdziwieniem na pana kancelistę i milczy. Sądził, że „zapewnioną pomoc w naukach“ otrzymuje uczeń na „stancyi“ bezpłatnie, bo przecież w przeciwnym razie zapewnienie jest niedorzecznością. Ale milczy, a kancelista sądząc, że to milczenie jest wyrazem zgody i zadowolenia, zaprasza ojca na objad. Ojciec jednakże uparcie milczy, zasłuchany w dolatujące z kuchni odgłosy gospodarskiej rozmowy.

— Proszę pani, kiszoną kapustę trzeba wyrzucić, bo się w niej lęgną już robaki — mówi służąca. Przecież ta kapusta ma już rok, niedługo będziemy świeżą kisić.

— Ale, wyrzucić! — odpowiada pani. Zaprawi się kapustę sadłem, to ją studenci będą jeść i tylko palce ze smaku oblizywać.

— Już ja dziękuję za tę kapustę — rzekła służąca.

— Owszem, zostanie więcej dla studentów.

Po zapewnionej „pomocy w naukach“ dowiedział się ojciec o „hygienicznym wikcie“. Zrezygnował z tego wszystkiego, ale dla zachowania pozorów zapytał o cenę stancyi.

— Jak dla dobrodzieja, to 40 koron miesięcznie—odpowiedział kancelista. Inni płacą więcej, ale przy tylu osobach, to się pański syn jakoś pożywi.

— Co się do tego mięszasz? — woła pani kanceliścina, wpadłszy z impetem do pokoju. Kto się ma pożywić pomiędzy tylu osobami? Może przy tobie się pożywi? U mnie stancya kosztuje 50 koron, jak oko.

— Poradzę się żony — mówi stroskany ojciec i opuszcza stancyę z „opieką, wiktem hygienicznym i pomocą w naukach“. Na podwórzu zachodzi mu drogę kobiecina z pomarszczoną twarzą i przyciszonym głosem powiada:

— Pan dobrodziej szuka stancyi? Pan dobrodziej zgodził może stancyę u kancelisty? Nie obmawiam nikogo, ale pani kanceliścina ma dwa stoły. Inny wikt daje swoim, a inny studentom. Niech dobrodziej zbliży się do tego okienka od piwnicy.

Pociągnęła go siłą za rękaw do owego okienka i prawiła dalej:

— Czuje dobrodziej, jak „jedzie“ gnijąca kapusta? Będzie ją pański synek jeść co drugi dzień na objad i kolacyę. A jakże. U mnie to co innego. Ja także „trzymam“ studentów na stancyi, ale u mnie mają tak, jak u matki. Zachoruje chłopak, broń Boże, to ja mu zaraz gotuję potrawkę z cielęciny, bulion z jajkiem, ślaz, a kanceliścina w takich razach powiada: „wygłodź się, to ci się zaraz polepszy“. Jużci, polepszy się, ale w jej kieszeni.

Ale dobrodziej imieniem swojego syna zrezygnował z potrawki cielęcej, bulionu i ślazu i czemprędzej wyniósł się na ulicę. Zrobił już kilkadziesiąt kroków, gdy mu ktoś wsunął rękę pod ramię i zatrzymał. Był to kancelista.

— Wysłała mnie żona za panem — prawił zadyszany. Podoba jej się pan dobrodziej, więc weźmie pańskiego syna za 40 koron, tylko niech to „zostanie między nami“. Wszyscy inni płacą po 50 koron.

— Poradzę się z żoną — mówi zrozpaczony ojciec.

— A może dobrodziej ugodził się z tą na podwórzu? Dobrodzieju, przecież my ją znamy, od piętnastego niema co. jeść. Głodomór. Zresztą wolna wola, ja znajdę studentów na kopę, tylko mi żal dobrodzieja.

Ojciec uwolnił się wreszcie od kancelisty i poszedł dalej szukać stancyi.

h. j—e.

Nowy skandal w „królestwie“ p. Rajchmana.

Nie przebrzmiało jeszcze echo skandalicznych historyj z rachunkami koncertów, urządzanych przez dyrektora Rajchmana w Filharmonii warszawskiej, a już dzienniki tamtejsze rozpisują się



Nowy skandal w »królestwie« p. Rajchmana
Dyr. A. Rajchman.

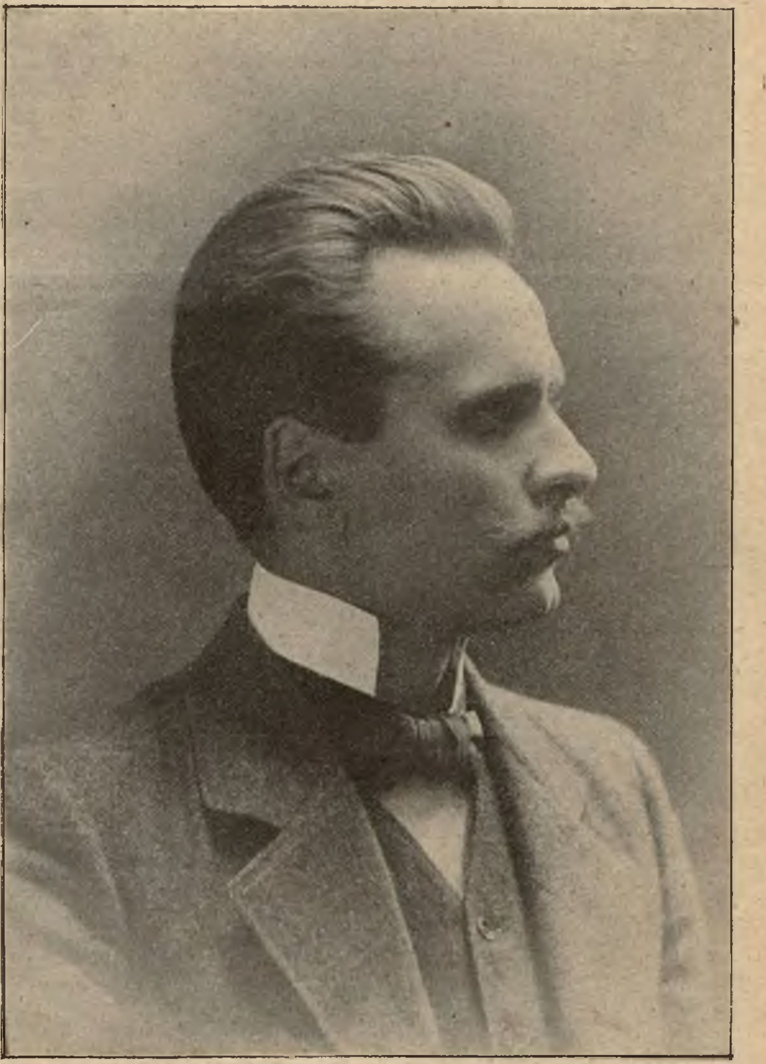
per longum et latum o nowym skandalu, jaki wydarzył się tymi dniami w Dolinie Szwajcarskiej, wywołując ostry zatarg między członkami orkiestry Filharmonii a dyr. Rajchmanem.

Stosunki między orkiestrą a dyrekcyą Filharmonii nie były wcale miłe i niejednokrotnie już dochodziło do zajść gorszących. W ostatnich zaś czasach stanowiły orkiestra i dyrekcya dwa wrogie obozy, zwalczające się nawzajem bezwzględnie. Doszło do tego, że orkiestra ogłaszała w dziennikach warszawskich protesty przeciw gospodarce artystycznej dyr. Rajchmana, oraz poddawała ją ostrej krytyce.

Ostateczny wybuch nastąpiłw ubiegłym tygodniu; stało się to podczas koncertu w Dolinie Szwajcarskiej. Z winy podobno kapelmistrza orkiestry p. Rukawiny, pianista Boujukli przerwał wykonywaną kompozycyę i pod adresem orkiestry wypowiedział publicznie kilka dosadnych, a ujemnych uwag, skarżąc się na zły akompaniament. Orkiestra w przekonaniu, że wina spada na dyrygenta, wyraziła znowu przez usta jednego z członków, p. Ozimińskiego, żal do p. Rukawiny. Zajście to doszło do wiadomości dyr. Rajchmana, który udzielił p. Ozimińskiemu niezwłocznie dymisyi. Dolało to oczywiście oliwy do ognia. Wszyscy członkowie orkiestry, którzy zsolidaryzowali się ze słowami swego kolegi, oświadczyli, iż przyjmą dalsze współpracownictwo w Filharmonii tylko w takim wypadku, jeśli dymisya p. Ozimińskiego zostanie cofniętą i jeśli p. Rukawina przeprosi orkiestrę i pianistę Boujukli'ego. Ponieważ zaś dyr. Rajchman na żądanie to zgodzić się nie chciał i uważał postępek członków orkiestry za złamanie umowy, nastąpiło urzędowe, w obecności świadków i rejenta, rozwiązanie kontraktów.

W następstwie tego dalsze, zapowiedziane już przez przedsiębiorstwo p. Rajchmana, koncerty orkiestry w Dolinie Szwajcarskiej odbyć się nie mogły. Także sprawa kontraktów na sezon zimowy w operze i Filharmonii mocno przez to została zachwiana, jak stwierdzają pisma warszawskie.

Tak mniej więcej przedstawia się przebieg ostatniego zajścia w *cronique scandaleuse* p. Rajchmana. Jakie będą dalsze losy orkiestry, nie wiadomo. Sprawą tą zajął się „Związek muzyków polskich“ i porozumiewa się z pokrewnemi instytucyami zagranicznemi.



Nowy skandal w »królestwie« p Rajchmana: Kapelmistrz Fryderyk Rukawina.

Z lwowskiego bruku.

(Zwalczanie szkarlatyny. — Rząd czy gmina? — Przedłużenie sezonu martwego. — Pogrzeb tramwaju konnego. — Jego zalety i żal mieszkańców. — Wybory na stary sposób. — Widoki na nową sensacyę).

My teraz zwalczamy namiętnie szkarlatynę, która wobec tego sroży się z każdym dniem coraz bardziej. Najnamiętniej zwalczamy ją drukowanem słowem w dziennikach i toczymy spór o to, czy rząd, czy gmina więcej w tej sprawie robią. Na fizyka miejskiego zwaliły się ze wszystkich stron gromy i zmuszono go nawet do ogłaszania komunikatów codziennych w dziennikach o stanie epidemii w mieście. Odroczono otwarcie szkół na dwa tygodnie i w ten sposób przesunięto całe ożywienie miasta, które w zwyczajnych warunkach o tym czasie wre już pełnem życiem sezonu. Gdy jeszcze ponadto po wielu tygodniach deszczowych i słotnych nastało gorąco i piękna pogoda, mamy przedłużenie sezonu ogórkowego, a raczej jego przesunięcie z sierpnia na wrzesień. Oto największa sensacya: sezon ogórkowy we wrześniu! We Lwowie wszystko możliwe, więc i to przyjęliśmy prawie z obojętnością taką, że nawet żaden z brukowych dzienników nie rozpisał ankiety do swoich czytelników z pytaniem, jak się na to zapatrują i jak temu ich zdaniem zaradzić należy.

Ażeby się przekonać, że sezon martwy trwa dalej we Lwowie, wystarczy przeglądnąć dzienniki lwowskie, wystarczy przejrzeć repertuar teatru albo bodaj przejść się głównemi ulicami miasta, które teraz rozkopują pod budowę nowych linij tramwajowych. Na niektórych liniach przestał już nawet przeszkadzać komunikacyi osławiony tramwaj konny. Wkrótce zniknie ze wszystkiem z widowni miasta, a mieszkańcy Lwowa z prawdziwą satysfakcyą powitają ten pogrzeb.

Tramwaj konny bowiem miał swoje zwyczaje, które wyprowadzały z równowagi najbardziej wyrozumiałych obywateli. Lwowski tramwaj konny porównywano ze szczęściem, z kobietą, z wodą sodową, z nieszczęściem, z ironią, z pieprzem, z kością w gardle, z marmoladą, z maszyną do szycia, z policyantem — a wszystkie te porównania były trafne.

Tyle zalet miał tramwaj konny. Ażeby go należycie ocenić, trzeba go było widzieć w ruchu. Żaden z naszych karykaturzystów nie oddałby tak trafnie tego niezrównanego obrazka. Ani fotograf nie dokazałby tej sztuki, bo brak mu kolorów na dokładną reprodukcyę nosa woźnicy tramwajowego i wypłowiałego ogona końskiego. To trzeba było widzieć i długo obserwować, aby ocenić cały urok tej samej dotąd ozdoby stołecznego miasta i pryncypalnych jego ulic. O tramwaju konny! — wołano. Ty jesteś jak zdrowie! Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowiedział, kto na ciebie czekał... A kto nie czekał na tramwaj konny? On sam czekał i każdy czekał na niego. Ale tylko dwa były powody, dla których nie można się było dostać do niego: albo nie mogłeś go się doczekać i poszedłeś piechotą, albo, gdyś go zobaczył na stacyi i pędziłeś za nim, on uciekał, jak waryat i nie mogłeś go dopędzić. Był to więc niejako mebel dla ozdoby miasta, ale nie do użytku lub ułatwienia komunikacyi.

Teraz już nawet przestanie być ozdobą, bo jego miejsce zajmie wypierająca wszystko elektryczność.

Przyjdą jeszcze czasy, jak mówią starzy ludzie, że i posłów będzie się wybierać zapomocą elektryki. Poprostu będzie to taki aparat, do którego wrzuca się kandydatów, ubiegających się o mandat, a za stosownem pociśnięciem elektrycznego guzika, wypadają przez rurę wyborczą wszyscy obłoceni.

Jeden z nich najwięcej obłocony, mieć będzie w ręku mandat poselski i ten będzie posłem. Narazie musimy jeszcze iść starą drogą, odbywać zgromadzenia, rozbijać zgromadzenia, oblepiać się afiszami, rozbijać bliźnim głowy, opłacać się fabrykantom wyborczym, zwanym przesadnie hyenami itp.

Mamy teraz tylko dwóch kandydatów i znawcy stosunków miejscowych twierdzą z całą stanowczością, że jeden z nich zwycięży, co nawet jest więcej niż pewnem. Zainteresowanie jest jednak niewielkie, może z powodu przedłużonego sezonu martwego i nieobecności wielu wyborców, którzy łykają resztki górskiego powietrza.

Wogóle brak we Lwowie wielu mieszkańców, a między innymi widzi się na ulicy, że niema znanych spacerowiczów a przedewszystkiem mężatek, mieszkających prawie na ulicy. *Ich sehe viele, die nicht da sind* — powiedział niemiecki dowcipniś, przyszedłszy na bal i nie zastawszy tam stałych bywalców. O jednej mężatce, żonie wysoko postawionego męża, mówią nawet, że już nie wróci do Lwowa, ale zostanie w zachodniej Galicyi u krewnych swego przyjaciela.

Jeżeliby się to okazało prawdą, będziemy mieli do zanotowania sensacyę, jakich mało. Niektóre brukowe pisemka już szczerzą zęby i zbierają materyał palny, aby rozpocząć nowy sezon najświeższą sensacyą. Daj im Boże, aby owa piękna pani wróciła i obróciła ich zamiary szlachetne w nici.

(* * *).

Garage automobilowy w Przemyślu.

Urządzona przed kilkunastu dniami wycieczka automobilistów po Galicyi, miała na celu stwierdzenie warunków, jakieby w kraju naszym stworzyć trzeba, celem rozwinięcia komunikacyi samochodowej w kraju. Faktem jest bowiem, iż także pod tym względem Galicya pozostała daleko w tyle po za innymi krajami, gdzie samochody są niesły-

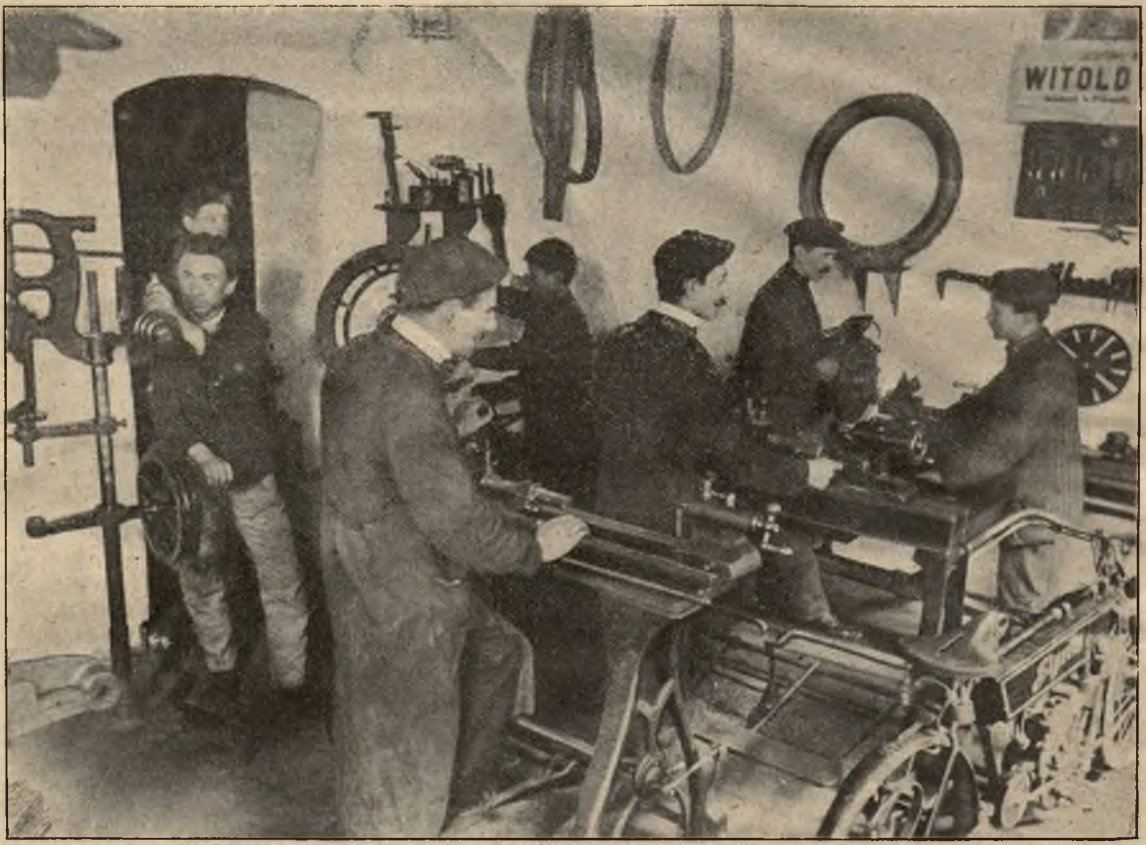


chanie rozpowszechnione, jako dogodny i praktyczny środek komunikacyjny.

Wycieczka osiągnęła, zdaniem jej uczestników, swój cel. Wnioski jednak, jakie ostatecznie niektórzy automobiliści i wiceprezes klubu z rezultatów wycieczki wyciągnęli i w jednym z dzienników krakowskich ogłosili, nie wydają się uzasadnione. Zdaniem ich mianowicie sport samochodowy nie może się w Galicyi rozwinąć z tego powodu, iż brak tu wielkich, na modłę europejską urządzonych garaży i warstatów dla naprawy zepsutych wozów. Odsyłanie ich zaś do fabryk zagranicznych połączone jest z bardzo wielkimi kosztami.

Twierdzenie tego rodzaju wytwarza jednak pewnego rodzaju błędne koło. Z większą bowiem słusznością stwierdzić można, iż jak długo w Galicyi nie będzie wielkiej ilości samochodów, jak długo sport ten nie rozwinie się na bardzo wielką skalę, tak długo trudno marzyć o wielkim garage'u. Bo nikt nie zechce więzić kapitałów, na urządzenie warstatów potrzebnych, dla kilkudziesięciu, choćby stukilkudziesięciu wątpliwych klientów.

Natomiast dla dzisiejszych potrzeb automobilizmu galicyjskiego, a nawet dla potrzeb znacznie większych, wystarczy w zupełności garage już w kraju istniejący, jedyny dotychczas urządzony na skalę w każdym razie wysoką. Jest nią garage



Garage automobilowy w Przemyślu: Oddział tokarski w warsztatach p. Trandy.

i specyalny warstat naprawy automobilów p. Witolda Trandy w Przemyślu, założony tam przed dwoma przeszło laty.

P. Tranda, który przez szereg lat kształcił się fachowo za granicą i pracował w najpoważniejszych firmach elektromechanicznych w Warszawie, Wiedniu, Monachium i Paryżu. oraz ukończył instytut elektrotechniczny w Frankfurcie nad Menem, osiadł na stałe w kraju rodzinnym i w samem jego centrum założył wielką pracownię elektrotechniczno-mechaniczną i zakład instalacyjny, a obok tego specyalny warstat dla naprawy automobilów, motocyklów i rowerów. Wybudował też w pobliżu warstatu wielki garage, gdzie pomieścić się może równocześnie kilkanaście dużych samochodów. Personal liczny, wyszkolony fachowo, maszyny warstatowe pierwszorzędnej jakości, między temi wspaniała tokarnia, energia, wiedza i rzetelność właściciela zakładu, wszystko to wsparło rozwój przedsiębiorstwa, to też klientela jego dziś już jest bardzo liczną i doborową. Należy do niej mecenas dr. Błażowski, hr. Henryk Konarski, hr. Stanisław Konarski, inżynier Koszla, inżynier Korol, dr. Michalik, p. Strzelecki itd. Co częściej też zdarza się, iż właściciele samochodów, nawet z odległych stron Galicyi, oddają swe wozy do naprawy warstatom p. Trandy, zamiast wysyłać je za granicę, i są zupełnie zadowoleni. Stałym zaś klientem tej pracowni jest przemyski klub automobilistów i motorzystów.

Wobec tego — na dziś przynajmniej — nie ma bynajmniej potrzeby, aby fabrykanci obcy zakładali w kraju naszym wielkie garage. Niechaj tylko nasi automobiliści zwracają się z całem zaufaniem do krajowego przedsiębiorstwa, a z pewnością i grosza dużo oszczędzą i maszyny będą mieli doprowadzone do zupełnego porządku.

Poza warstatami naprawy automobilów posiada zakład p. Trandy w Przemyślu zastępstwo słynnej fabryki automobilów Opel et Darracq i fabryki motorów Laurin et Klement w Czechach, oraz zastępstwo znakomitych pneumatyków „Michelin“.

Także w wielu innych kierunkach zajął zakład p. Trandy bardzo wybitne miejsce. Zaliczyć tu należy instalacye światła elektrycznego, gromochronów, dzwonków i wodociągów.

Wykonanie wszelkich tych instalacyi jest zawsze bez zarzutu, czego dowodzi także okoliczność, iż monterzy z zakładu p. Trandy wyjeżdżają bardzo często, wzywani do robót daleko poza Przemyśl, a nawet we Lwowie.



Garage automobilowy w Przemyślu: Widok zewnętrzny garage'u.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

9 Ciąg dalszy.

Po wyjściu z kawiarni poszukał skromnego hoteliku, w którym najął dla siebie niewielki pokój z oknem, wychodzącem na ulicę. Z głową opartą o chłodne szyby okna przypatrywał się przez czas jakiś ruchowi ulicznemu, wsłuchując się w zgiełk, jaki dochodził go z dołu. Przez chwilę żałował swego przedsięwzięcia, czynił sobie wyrzuty, iż tak lekkomyślnie rzucił się w awanturę, która niewiadomo kiedy i jak zakończy się dla niego. Zamiast o tej porze spoczywać wygodnie u siebie w domu, lub bawić się z przyjaciółmi, zmuszony jest tułać się po podrzędnych hotelach po całym dniu niepokojów i trudów. Namyślał się nawet, czy nie cofnąć się zawczasu z drogi, na którą wszedł, mógł przecież uczynić to łatwo, chęć jednak wybicia się z tej szarej rzeszy dziennikarskiej, krępującej mu ducha, przemogła w nim wszelkie obawy.

Znużony zupełnie położył się wreszcie spać, marząc o sławie, która jednak mogła zamienić się w straszny, okrutny zawód.

V.

Szary posępny dzień zimowy, który zdawał się, iż jeszcze nie otrząsnął się z mroków nocy, dobiegał już południa, gdy Coche się ze snu obudził. Ubrał się pospiesznie i wyszedł zaraz, by przeczytać poranne dzienniki.

W kurytarzu koło biura hotelowego zatrzymał go zarządca:

— Proszę pana o dopełnienie maleńkiej formalności dla policyi...

Jedno to słowo „policya“ odrazu przejęło go trwogą, mimo to nie tracąc miny, zapytał się najspokojniej:

— Formalność policyjna? cóż to takiego?

— Obowiązani jesteśmy prowadzić szczegółową listę gości, do której każdy z przybyłych musi podać swe nazwisko, zajęcie i datę przyjazdu. Bardzo często ostrożność ta jest zbyteczna, zwłaszcza w tak porządnym hotelu jak nasz, wobec jednak ciągłych wypadków, nie możemy niczego zaniedbywać... Naprzykład to zabójstwo na bulwarze Lannes...

Coche uczuł naraz, że blednie. Spojrzał uważnie na zarządcę i już usta otworzył, by — niebaczny — zaprotestować, wyrwać się z czem nie potrzebnem, lecz tamten skłonił tymczasem głowę nad biurkiem i przerzucając w papierach, podał mu z miną uśmiechniętą kartę meldunkową.

— Tylko tę kartę należy wypełnić i nic więcej.

Gdy Coche zajęty był pisaniem, rządca dawał dalsze wyjaśnienia:

— U nas prowadzi się ta lista nie tyle z powodu morderców, nasza dzielnica bowiem nie jest niebezpieczną pod tym względem, lecz z powodu zbrodniarzy politycznych, dezerterów rosyjskich, nihilistów... To nie bardzo przyjemnie gościć u siebie ludzi, którzy spacerują z bombami; lada chwila cały dom może wylecieć w powietrze...

— Z pewnością — odpowiedział Coche, oddając zapisaną kartę, poczem skierował się ku wyjściu.

Bezwiednie zatrzymał się na progu hotelu, rozglądając się na prawo i na lewo po ulicy, jak ludzie, którzy niczego nie oczekując, nie wiedzą, co z sobą począć. Tymczasem zarządca hotelu, który zdołał już przeczytać na kartce: „Farcy, rentier z Wersalu“, przyglądał się z boku Coche'owi, formułując swój sąd o nim niezbyt pochlebnie.

— Takim ty jesteś rentierem, jak i ja, mój kochanku. Znam się na takich obywatelach. Poczem przypominając sobie, iż lokator ten przybył bez bagaży i posądzając go, że może po przespanej nocy nie pokaże się już więcej, wybiegł na ulicę za Coche'm, który ruszył wreszcie przed siebie i począł wołać:

— Panie Forcy! Panie!

Coche słyszał wyraźnie to wołanie, nie zwrócił jednak nie najmniejszej uwagi. Zapomniał, że tak brzmi jego nowe nazwisko i dopiero, gdy ujrzał przy swym boku hotelowego, wspomniał, iż tak się zapisał na karcie meldunkowej. Spytał więc niechętnie:

— Jaki pan ma jeszcze interes?

— Proszę pana, u nas jest w zwyczaju, iż płaci się z góry przynajmniej za tydzień.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Coche i zapłacił z postanowieniem jednak, iż nie wróci już tutaj na noc. Gdy wykryje się — myślał — że tak zmieniam mieszkania, będzie to uważane za nowy dowód mej winy.

Jednocześnie doznał silniejszego jeszcze niż wczoraj uczucia niemocy. Przyrównywał się do gołębia, który widzi, jak z pod obłoków wysuwa się sęp i spuszcza się na dół, by porwać go w swe szpony, a on niema mocy uchronić się od tego śmiertelnego ciosu. Tak przedstawił sobie sprawiedliwość, przed którą będzie zmuszony stanąć i odpowiedzieć za swe sprawy. Po tej strasznej nocy nic nie czynił i jakby zdał się na los szczęścia, które mogło okazać się bardzo zawodnem. Postanowił więc działać, wykorzystać przedewszystkiem błędy, jakich dopuściła się przy śledztwie policya.

Po drodze przeczytał kilka dzienników, które podawały całe masy najróżniejszych, przeważnie fałszywych szczegółów o zbrodni, niektóre nawet uwiadamiały, że policya jest już na właściwej drodze do odkrycia winowajcy. Następca jego w redakcyi, poprzednio sprawozdawca z Izby deputowanych, zapewne widział się osobiście z komisarzem, artykuł bowiem swój napisał w tonie bardzo stanowczym, jakgdyby wiadomości swe czerpał „u samego źródła“.

— A więc — myślał — tak słaby podstęp wystarczył, by wszystkich wprowadzić w błąd. Mimo to nie należy zasypiać tej sprawy, lecz trzeba pchnąć ją naprzód, by prędzej nastąpiło rozwiązanie. Postanowił uczynić to zapomocą dziennika. Była dopiero pierwsza godzina, a że Avyot przychodzi do redakcyi zazwyczaj dopiero koło piątej godziny, miał więc jeszcze dosyć czasu. Wstąpił do restauracyi na śniadanie, poczem zaczął spacerować po ulicach, rozważając co winien uczynić w najbliższej przyszłości. Do denuncyowania samego siebie nie miał najmniejszego powodu; a ponieważ chciał tylko wykazać przestarzałą rutynę policyi, jej brak wszelkiej przenikliwości, należało więc tak wszystko urządzić, by aresztowania dopełniła z własnej pobudki. W ten sposób policya zdradzi się, z jaką lekkomyślnością chwyta się pierwszego znalezionego śladu, jak się go uporczywie trzyma i jak wbrew wszelkiej oczywistości wysnuwa z niego fałszywe wnioski.

Punktualnie o piątej wszedł do biura pocztowego i zażądał połączenia telefonicznego z redakcyą. Jak to już uczynił zeszłej nocy w kawiarni i teraz zmienił głos, prosząc o wezwanie do telefonu sekretarza redakcyi. Avyotowi nie zostawił nawet czasu do zapytania, lecz odrazu zaczął mówić:

— Panie, jestem pańskim korespondentem z poprzedniej nocy. To ja dałem znać o zbrodni na bulwarze Lannes. Jak pan już przekonał się, miałem dobre informacye, obecnie zaś chcę dodać kilka nowych szczegółów.

— Dziękuję bardzo, lecz chciałbym wiedzieć, z kim...

— Z kim pan rozmawia? Jest to zupełnie zbyteczne. Wiadomości moje są prawdziwe, daję je bezinteresownie, czego więc może pan sobie życzyć więcej. Do pewnego czasu pan nic nie może wiedzieć o mnie. A zresztą, jeżeli się to panu niepodoba, mogę zwrócić się dokąd indziej..

— Ależ słucham pana, proszę bardzo!

— Muszę więc panu powiedzieć, że policya jest na zupełnie fałszywej drodze, że ani słowa prawdy niema w tem, co piszą dzienniki. Zbrodni tej nie można nadawać żadnych tajemniczych pobudek; jest to zwykłe morderstwo, popełnione dla kradzieży. Wnioski zaś komisarza policyi są owocem bujnej wyobraźni. Najlepiej poprowadźcie sami śledztwo, a odkryjecie prawdę. Przedewszystkiem nie wierzcie wszystkiemu, co wam opowiada policya.

— Przepraszam pana, chciałem tylko...

— Niech pan nie przerywa! Mam widocznie jakieś ważne powody, by odkryć wam te rzeczy, o których sam tylko wiem... Poradźcie policyi niech opuści drogę, na którą wstąpiła; utrzymujcie wbrew wszelkim twierdzeniom, że winowajcy...

— Jak pan mówi?

— W i n o w a j c y, liczba mnoga! Niech pan w artykule zapyta policyi, czy nie odkryto żadnych śladów w ogrodzie. Na dzisiaj zresztą dosyć już powiedziałem. Co do reszty skomunikuję się jeszcze z panem. O ile wypadki będą posuwały się naprzód, podam nowe szczegóły... O jedno tylko chcę prosić, a mianowicie, ani słowem nie wspominajcie o tajemniczym informatorze, a teraz moje uszanowanie...

Coche zawiesił słuchawkę i wyszedł.

. . . .

Gdy komisarz zaczął czytać na drugi dzień artykuł *Sztandaru*, z początku uśmiechał się, dochodząc jednak do ostatnich wierszy zmarszczył brwi i rzucił ze złością dziennik.

Mimo przyrzeczenia, reporter napisał o śladach w ogrodzie. Była to na razie wzmianka tylko, można się jednak było spodziewać, że jutro ukaże się o tem większy artykuł. Aby tylko Coche nie wspominał o tem, traktował go jak przyjaciela, pozwolił widzieć mu to, czego żaden z jego kolegów nie oglądał i oto jak się wywdzięczył. Nie dość, że *Sztandar* pisał o zbrodni, zanim on o niej wiedział, ale teraz jeszcze występuje przeciw niemu!

Nikt z pewnością nie będzie przykładał wagi do tego artykułu, pełnego nieprawdopodobieństw; czy on jest na dobrej drodze, okaże się, potem z wykrycia zbrodni. Lecz czyż to sprawiedliwe, by dziennik, dla którego on dopuścił się w gruncie rzeczy pewnego przewinienia służbowego, obecnie pierwszy dyskredytował jego śledztwo?

Wszedł do biura sekretarza z dziennikiem w ręku i podając mu go zapytał:

— Czytał pan to?

— Tak panie komisarzu.

— Pańskie zdanie?

— Dobrze byłoby widzieć się z tym Cochem i dać mu jedną, drugą informacyę, czem możnaby go zaspokoić...

— Ale co pan myśli o jego hypotezie, wręcz przeciwnej niż moja?

— Myślę to, co można myśleć o hypotezie dziennikarza. Ostatnie szczegóły nic nie przyniosły dla potwierdzenia naszych wniosków, ale także nic dla potwierdzenia jego przypuszczeń.

Komisarz milczał przez chwilę, poczem dodał jeszcze:

— A jednak ja mam racyę. Niech pan zatelefonuje do *Sztandaru*, aby Coche przyszedł do mnie. Mam zamiar być jeszcze na bulwarze Lannes i poddać wszystko szczegółowemu badaniu; sędziemu śledczemu całą sprawę trzeba oddać już gotową.

* * *

Dom znajdował się zupełnie w tym samym stanie, w jakim pozostawił go komisarz, z tą tylko zmianą, iż po szczegółowem opisaniu pozycyi, w jakiej znaleziono zamordowanego, zwłoki jego odstawiono do morgi.

Pokój ten miał obecnie straszniejszy jeszcze wygląd, niż poprzednio. Niepościane łóżko z pomiętą, rozrzuconą pościelą, wywoływało wrażenie najzupełniejszego opuszczenia, jakiejś żałoby. Mdły zapach krwi zamienił się w odurzającą woń potu i zaduchu, właściwą opustoszałym mieszkaniom. W miednicy różowawa woda zmieniła zupełnie barwę, pokrywając się małemi, czerwonemi grudkami; na brzegach osiadł szlam klejowaty, zmięszany z mydłem i krwią. Gdy urzędnicy po raz pierwszy pojawili się w tym domu, zdawało się, iż resztki życia błąkają się między murami. Człowiek pozostawia po sobie w mieszkaniu swem jakby odbicie własnej osoby, które następnie zachowują ściany, niemi świadkowie naszego życia.

Teraz po ponownem przybyciu do tego pokoju komisarz wraz z ajentem zaczął znowu przyglądać się wszystkiemu bacznie; badał ściany, zaglądał do kątów, obejrzał szczegółowo toaletę, potem wziął się do egzaminowania przewróconego zegara, który zatrzymał się na godzinie dwunastej dwadzieścia minut. Może nic niema prostszego a zarazem straszniejszego od zegara, który choć wyszedł z rąk ludzkich, zdaje się być stworzonym przez przeznaczenie, na wiecznego szpiega człowieka; biegnie on ciągle równym krokiem ku nieprzeniknionej przyszłości i mierząc czas, mierzy zarazem i życie nasze.

— Trzeba sprowadzić zegarmistrza — odezwał się komisarz — aby wytłomaczył nam, dlaczego ten zegar przestał iść. Ważnem jest, czy stanął on z powodu upadku, czy też z innej jakiej przyczyny.

— A to co? zdaje mi się, iż nie widzieliśmy tego za pierwszym zazem — odezwał się ajent, podnosząc z ziemi kilka skrawków papieru.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nadesłane.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności)

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Artur Bocsoń, Bóbrka.

Pierwsze i piąte w alfabetu rzędzie,
Czwarta literą, ale grecką będzie,
Trzecią z kreską z wspak drugą w górach znajdziecie.
Całość kwiat doniczkowy, który kwitnie w lecie.

Zagadka głoskowa.

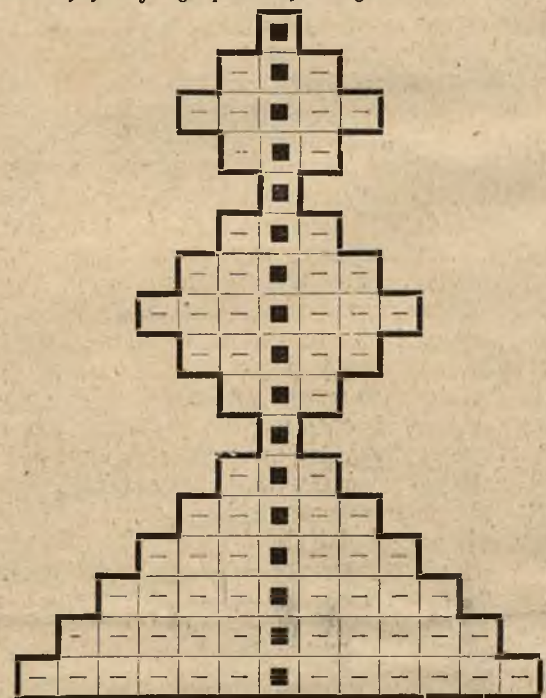
Ułożył Izydor Zirler z Rohatyna.

Nie zmieniając porządku, z każdego z poniżej podanych słów odjąć po jednej głosce, by razem utworzyły imię i nazwisko sławnego malarza polskiego: Kraj, Ludwik, Eliza, pijak, Ujejski, Kasprowicz, Witkiewicz, Oko, orzeł, Ostrów, Moniuszko, Małecki, Klaczko.

Logogryf.

Ułożył R. Hemmerling, Drohobycz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery w ten sposób, by litery środkowe wstawione w miejsce kwadratów, czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły imię i nazwisko najsłynniejszego pisarza polskiego.

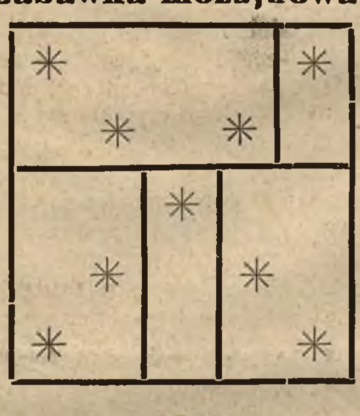


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Pierwiastek chemiczny. 3. Jeden z utworów Sienkiewicza. 4. Okres czasu. 5. Spółgłoska. 6. Dopływ Wołgi. 7. Dopływ Dniepru. 8. Król assyryjski. 9. Ryba. 10. Dopływ Dunaju. 11. Spółgłoska. 12. Zdrobniała nazwa niedźwiedzia. 13. Wyspa na morzu Śródziemnem. 14. Rzeka we Francyi. 15. Poeta polski. 16. Wódz rzymski. 17. Malarz polski.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **»Adamowi Krechowieckiemu«.** Księga pamiątkowa, wydana z powodu jego jubileuszu.

Rozwiązanie zagadek z Nru 34

Zabawka mozajkowa.



Plecionka.

Galicya, mit, maczuga, boa, koklusz, lak, lin, alt, ząb, arlekin, ale, erg.

Logogryf.

Bolesław Prus, Lalka.

Szarada.

Przymus.

Krzyż magiczny.

Pandora, Podwale, Kroacya.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Płaziński Tarnów, E. Lorbez Kimpolung, E. Ostaszewski Sącz, A. Krygowski Rzeszów, M. Lasociński Bochnia, A. Bocsoń Bóbrka, J. Wielgus wadowice, L. Dąbrowski Lubatówka, J. Januszewski Podgórze, K. Fuchs Czeremchów, Wł. Czeppé Tarnobrzeg, E. Misiewicz, Wiedeń, H. Stojowska Rzeszów, A. Broniewski Kraków, B. Hirschsprung Lwów, J. Grotkowski Kraków, E. Lemiszewski Przemyśl, S. Kubacki Piotrków, F. Majewska Kraków. F. Możdżeński Wiedeń, A. Rojek Lwów, B. Leszczyński Stryj, A. Rotter Stanisławów, M. Opolska Czarny Dunajec, A. Kijeńska Łódź. M. Trzecieski Piotrków, A. Woyde Warszawa, W. Ossowski Warszawa, L. Garfunkel Kraków, L. Błotnicka Lwów, St. Ogórek Kołomyja, Z. Luftig Czerniowce, M. Rożański Lipinki, J. Nikorowicz Ulwówek, K. Radoszyński Lwów, M. Sienietycki Czarna wieś, G. Lemochowski Ostrów, J. Czarkowski Horodnica, Z. Biegański Kamieniec, O. Górkowa Chyrów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. B. Hirschsprung Lwów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Magazyn mebli SZCZEPANA ŁOJKA, Kraków, Szpitalna 34

naprzeciw teatru. — Telefon 738 36—48

poleca w wielkim wyborze kompletne urządzenia pokoi syp'alnych, jadalnych salonów itp. Sofy wszelkiego rodzaju, materace, poduszki, kołdry, dywany, chodniki, portyery, firanki, kapy na łóżka, serwety na stoły itp.

Ceny konkurencyjne! **Ceny konkurencyjne!**

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBÓR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKÓW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzaną) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki mebelki **WÓZKI** itp. na składzie

---



Amatorom Gramofonów



podajemy do wiadomości, że nasz jedyny specyalny skład Gramofonów i płyt z marką z **„Piszącym aniołkiem“** urządziliśmy u naszego jeneralnego zastępcy

Józefa Wekslera we Lwowie

ulica Sykstuska 2.

Filia: w Krakowie, ulica Grodzka L. 71.

Proszę żądać cenniki illustr. i spis płyt darmo i opłatnie. Centralna zamiana płyt

---

JAN SKLARCZYK
krawiec cywilny i wojskowy
Kraków, Grodzka 5
I-sze piętro, oficyny.



Mam zaszczyt zawiadomić P. T. Publiczność, iż po długoletniej praktyce założyłem **Pracownię ubrań męskich i mundurków studenckich.** Wykonuję takowe według najnowszych wzorów, po cenach możliwie niskich.

Prawdziwa asfaltowa

Papa dachowa

(patentu Jana Biehna) sporządzona z naturalnego bitumu asfaltowego

której nigdy smarować nie trzeba

i żadnej nie wymaga konserwacyi, jest naftańszym, najlżejszym i bardzo trwałym materyałem do krycia dachów. — Nadaje się szczególnie **do krycia zniszczonych dachów gontowych**, po których chodzenie podczas smarowania niszczy pokrycie i gonty.

Wyłączna sprzedaż u firmy 36—41

HENRYK EBER, Lwów, pl. Smolki L. 3

Polecam też do zabezpieczenia stropów w stajniach przed gniciem

PAPĘ POŁYSKOWĄ

i służę dokładną instrukcyą do wykładania stropów tym materyałem.

Tysiące wykonanych robót! **Oferty i wzory bezpłatnie!**

Kraków **Sławkowska L. 3** Telefon 516



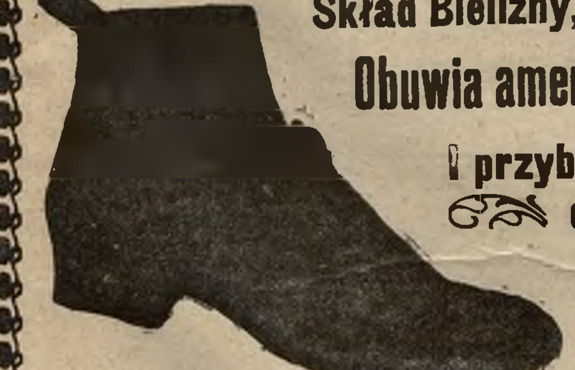
Kraków **Hotel Saski** Telefon 516

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy, Obuwia amerykańskiego i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Jan Lasociński

Lwów, Sienkiewicza 2

Magazyn i pracownia

sukien męskich

Krój angielski.

Największej doniosłości



dla każdego rowerzysty, mechanika, maszynisty, restauratorów szportowców, gospodarstw domowych i t. d. jest

Konrada prawnie ochronny wynalazek do szybkiego niklowania.

Niezrównana Nowość! Konrada środek do szybkiego niklowania, nikluje natychmiast bez wszelkich przyrządów wszelkie przedmioty metalowe. 1 flaszka wraz ze sposobem użycia **K 1·70**, 3 flaszki **K 4·80.** Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez c. i k. nadwornego dostawcę

HANNSA KONRADA Dom wysyłkowy **w Brüx Nr. 1580** (Czechy)

Bogato illustrowany główny katalog wysyła się każdemu na żądanie darmo i opłatnie. 36—40

Nawet najwybredniejszych smakoszy potrafią zadowolnić

TUTKI CYGARETOWE

FRAM

z watą „Salvesol-Noris“

Bibułka zrobiona jest z najdelikatniejszych włókien liści morwowych, więc nic dziwnego, że pali się lekko i równo, a dym jest łagodny i chłodny. Własności te podwyższa jeszcze umieszczona w ustniku

wata „Salvesol“.

Nadaje się do tytoni lekkich, mniej do średnio-mocnych — wskutek swego nader delikatnego włókna roślinnego. — Każdy palący tytoń, chcąc uniknąć zatrucia nikotyną, powinien palić tylko **w cygarniczkach szklanych** z watą „**SALVESOL**“.

Oryginalny pakiecik waty „Salvesol“ wystarcza na 200—400 papierosów lub cygar.

1000 sztuk tutek „Fram“ Kor. 3·—.
10 cygarniczek 1 Kor. 20 hal.
Pakiecik waty „Salvesol“ 30 lub 60 halerzy.

Zakład przemysłowy wyrobów papier. „Noris“

Mr. W. BEŁDOWSKI, Kraków, 2

Gimnastyka hygieniczna

dla dzieci

Leczenie skrzywień kręgosłupa, chorób stawów i kości

Zakład Zanderowski

w Krakowie, ul. Zyblikiewicza L. 9

od godziny 9—1 i od 4—6.

Dr Merz Dr Staszewski Dr Wachtel

IGNACY SOBOLEWSKI

w Krakowie, przy ul. Grodzkiej L. 3.

poleca: MAGAZYN TOWARÓW BŁAWATNYCH, JEDWABNYCH I GOTOWEJ KONFEKCYI DAMSKIEJ oraz DOBOROWĄ PRACOWNIĘ SUKIEN I OKRYĆ DLA PAŃ

Towar dobry — Ceny umiarkowane